Nr. 8. Warszawa, dnia 20 (8) Lutego 1892 r. **Rok XII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

NOWA KARTAGINA.

Uwaga świata politycznego zwróciła się na morze Śródziemne. Pomiędzy prasą włoską a francuską toczy się coraz ostrzejsza polemika o Bizertę. Ponieważ czytelnicy bez wyrzutu dla siebie mogą nie wiedzieć, gdzie leży i jakie ma znaczenie ten punkt geograficzny, więc objaśniamy naprzód, że jest to przystań tunetańska naprzeciwko Sycylii i że Francya chce z niej uczynić port pierwszorzędny. Jeden z posłów Izby włoskiej chciał interpelować Rudiniego, ale widocznie szepnięto mu do ucha, że rząd nie chce być o to publicznie pytany, więc do rozpraw nie przyszło. Przypatrzmy się bliżej stłumionemu zatargowi.

W wysuniętym groźnie ku Sycylii cyplu tunetańskim wgłębia się wspaniała zatoka, zasłonięta przylądkiem od wiatrów wschodnich i zachodnich, w której już okręty starożytnych często szukały schronienia. Obejmuje ona 16 kilometrów długą i 10 szeroką przestrzeń wody słodkiej, łącząc się z morzem za pomocą kanału, który obecnie jest zamulony i nieobwarowany. Właśnie teraz Francya zaczęła go oczyszczać i fortyfikować z ogromnym kosztem. Gdy roboty te będą ukończone, Biserta stanie się jednym z najlepszych i najsilniejszych fortów północno-afrykańskich, a dla Francyi będzie miała wartość nieocenioną. Od Tulonu oddziela ją zaledwie dzień drogi: z tych dwu punktów może Francya nietylko panować nad położonym między nimi obszarem morza, ale stać się bardzo groźną dla Włoch i Anglii. Bizerta bowiem zmniejsza ważność Gibraltaru i Malty, przecina drogę do Indyj, a tem samem zmusza stronę przeciwną do utrzymywania daleko większej floty na morzu Śródziemnem. Zrozumiał to dziennik włoski *Esercito italiano*, który (według *Fr. Ztng*) wyłożył swym ziomkom niebezpieczną rolę nowej przystani na wypadek wojny. Francya — powiada on — znajduje się w wybornem położeniu geograficznem: nie zajmując zbyt długiego wybrzeża, rozpościera się na dwa morza, podczas gdy Anglia i Włochy muszą bronić bardzo długich pasów. Posiadając Bisertę i Tulon, zagradza drogę pierwszej i grozi drugim, bez potrzeby narażania swych brzegów śródziemnomorskich, bronionych przez Tulon i Marsylię. Nawet wtargnięcie francuzów do Anglii stanie się możliwe. Złudziwszy ją bowiem udanym zamachem na kanał Suezki lub Egipt i odciągnąwszy tam główne siły jej marynarki, Francya byłaby w stanie po połączeniu floty śródziemnomorskiej z kanałową wykonać atak z Brestu i Cherbourga. Zanim zaś z Gibraltaru przesłanoby wiadomość o odpłynięciu jej statków, byłoby już za późno. Ma ona więc tę wielką przewagę, że może trzymać swą flotę skupioną, podczas gdy jej przeciwniczka musi swoją rozpraszać na ogromnej przestrzeni. Co do Włoch, to — według wspomnianego pisma — ich brzegi i porty są za słabo do stawienia czoła potężnemu natarciu. „Przeciw nowemu Rzymowi ręce francuskie wznoszą nową Kartaginę, a jest to rzeczą całkiem naturalną, że pod wpływem tego wspomnienia nowo-rzymianin kończy zdaniem swego przodka Katona: *Carthaginem esse delendam.*“ A z całego serca potakuje mu neowobrytyjczyk.

Francuzi, rozumie się, przeczą, ażeby mieli względem swych sąsiadów tak wrogie plany, twierdząc, że chodzi im tylko o założenie przystani handlowej i stacyi węgla, dodają wszakże zarazem: „Nie potrzebujemy taić, że mamy zamiar urządzenia w Bisercie stacyi torpedowej i zabezpieczenia jej bateryami.“ *Siècle*, który jest organem ministra spraw zewnętrznych, powiada: „Militarnem znaczeniem Biserty zajmował się szczególnie admirał Aube. Będąc ministrem, polecił, ażeby pogłębiono kanał, łączący zatokę z morzem, ale napotkał wiele trudności, które mu bądź stawiały Włochy, bądź względy zbytniego umiarkowania naszej polityki zagranicznej, tak, że nie mógł ukończyć tego, co zaczął. Nasze położenie obecne jest zupełnie inne. Jesteśmy swobodniejsi w naszych ruchach, lepiej ubezpieczeni z zewnątrz i chociaż pragniemy pokoju, nie mamy powodów wystrzegania się pewnych przedsięwzięć. Włosi przeciwstawiają nam dwa argumenty. Utrzymują, że nasz minister spraw zewnętrznych Barthelemy Saint-Hilaire swojego czasu przyrzekł, iż z Biserty nie uczyni arsenału, oraz że obwarowanie tej przystani narusza równowagę śródziemnomorską. Odpowiadamy na to, że nie myślimy wcale z Biserty robić drugiego Tulonu, a co do równowagi, to Włochy nadwyrężyły ją od lat 10 na swą korzyść, obwarowawszy Maddalenę i zamieniwszy Tarent na fort pierwszorzędny. Z Maddaleny zagrażają Korsyce, z Tarentu — Tunisowi i Algerowi.“ A zatem— jak zwykle w takich zatargach — wszystko odbywa się prawidłowo. *Siècle* kończy swoje wywody bardzo energicznie. „Jest więcej niż wątpliwem, ażeby Anglia poparła roszczenia Włoch. Za wiele ma ona kłopotu z przedłużeniem swego przywłaszczycielstwa w Egipcie, ażeby podejmowała spór dyplomatyczny, na którym nic wygrać nie może. Na przekór wszelkim dąsom wzmocnimy się w Bisercie i postawimy tyle armat, ile nam się podoba. Gdyby zaś włosi uczuli się przez to obrażeni, mamy nadzieję, że pewnego dnia nasz minister marynarki skorzysta z dobrej woli Izby i otrzyma od niej środki na obwarowanie Bonifacego (południowego cyplu Korsyki naprzeciw Maddaleny). Trójprzymierze ma wzrok krótki, jeśli nie dostrzega, że polityka francuska objawia teraz siłę życia, której zdawała się być pozbawiona od lat dwudziestu.“

Jasne. Nowa Kartagin a powstanie z groźą przeciw nowemu Rzymowi i Albionowi. Dotychczas zaledwie z wołowej skóry

wykrojono pas dla oznaczenia jej granic, a Hanibal jeszcze się nie narodził; ale już dziś ukazuje ona jeden z ważniejszych objawów rozwoju nowej postaci stosunków międzypaństwowych w Europie. Coraz wyraźniej zarysowują się dwie ich grupy i dwa kierunki ich dążeń.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Cesarz niemiecki w rozmowach prywatnych z wybitnymi przedstawicielami stronnictw parlamentu nie ukrywa troski, jakiej go nabawia szybki i groźny wzrost demokracyi socyalnej. Potrzebą zatamowania tego ruchu, który wnosi w łono państwa rozkład, nietylko usprawiedliwia Wilhelm II-gi projekt nowej ustawy szkolnej, ale nadto środki zapobiegawcze, których jeszcze nie ujawniono, ale które są niewątpliwie przygotowywane i niezadługo staną przed sejmem. Według zapewnień, czerpanych u źródła, dawne prawo przeciw socyalistom nie będzie wskrzeszone, ale zastąpi go inne, ograniczające swobodę słowa publicznego i stowarzyszeń. Żywioły umiarkowanie (narodowo) liberalne, które nie by nie miały przeciw okiełznaniu socyalno-demokratów, obawiają się, ażeby same na tej reakcyi nie ucierpiały i ażeby punkt ciężkości polityki wewnętrznej nie przesunął się zbyt daleko ku prawicy parlamentu.

Naturalnie socyalno-demokraci, którzy w swym organie ogłosili rozporządzenie ks. Jerzego saskiego i zawarte w niem nadużycia władzy wojskowej, wyzyskują tę sprawę w celach własnych. To też kanclerz Caprivi, podniósłszy ją w parlamencie, ostrzegał stronnictwa przyjazne rządowi przed niebezpieczną agitacyą, która rozluźnić może wzorową dotychczas karność w armii niemieckiej. Przyrzekł wszakże zarazem, że wezwie prawników do przejrzenia kodeksu wojskowego i podda ich uznaniu kwestyę jawności sądów, której domaga się lewica.

Z powodu kilku wypadków zastrzelenia przechodniów przez straże wojskowe parlament niemiecki przyjął uchwałę, żądającą zmiany obecnego porządku i reformy pod względem bezpieczeństwa.

Posłowie staroczescy odbyli w Pradze naradę nad dalszym programem działania. Ostatecznie postanowili mandatów nie składać, ale wytrwać na stanowisku, które im umacnia sympatya t. zw. „szlachty historycznej.“ I oni wszakże uznali, że ugodę czesko-niemiecką trzeba odłożyć do lepszych czasów i że ten podarty szmat nie może dziś im służyć za chorągiew. Młodoczesi tedy osiągnęli swój cel w większej mierze, aniżeli się spodziewali, występując do walki z przeciwnikami. Wobec tego może słuszna jest uwaga dziennika ruskiego, który twierdzi, że jedynym żywiołem, jedyną potęgą w Czechach, z którą liczyć się należy, jest gazeta *Narodni Listy.*

Przy obradach w Izbie gmin nad bilem irlandzkim bardzo małą większością głosów upadł wniosek Sextona, wyrażający przekonanie, że parlament angielski nie jest zdolny do uchwalania praw dla Irlandyi.

W Serbii nastąpił znowu przełom ministeryalny, którego dotąd nie naprawiono. Prezes skupczyny, Katicz, zrzekł się swej godności z powodu usunięcia przez nią z pod obrad sprawy wygnania Natalii. Był on od początku przeciwnikiem zachowania się rządu wobec b. królowej, a gdy teraz odtrącono jej pretensye, ustąpił. Gdyby tylko ustąpił! Ale jako podpora obecnego ministeryum pozbawia je gruntu. Stąd zamęt, waśnie, układy, próby pojednania — cały szereg powikłań, które muszą doprowadzić do pewnych zmian. Milana nic już wszystko to nie obchodzi. Oznajmił wspołpracownikowi *Figara,* że go już żaden węzeł z Serbią nie łączy, że poprzecinał wszystkie (złotym) mieczem. Chce żyć w Paryżu i używać jego przyjemności.

Prezes gabinetu greckiego oznajmił w parlamencie, że ekonomiczne położenie kraju jest nader krytyczne i że uratowanie być może tylko wielkiemi ofiarami narodu. Znaczy to: nowe podatki, podatki i jeszcze raz podatki.

Toż samo hasło wydała Portugalia, która już nie stoi nad przepaścią finansową, ale w niej leży. Kto ją z tej otchłani wydźwignie — zasłuży sobie co najmniej na medal ratunkowy.

BADANIA NAUKOWE.

FILOZOFIA.

Cezary Jellenta, *Studya i szkice filozoficzne.* Warszawa. Gebethner i Wolff. 1891.

Książka ta jest zbiorem artykułów większych, drukowanych już poprzednio, przeważnie w *Ateneum.* Treść jej obraca się głównie około trzech punktów: estetyki, etyki i filozofii dziejów. Do artykułów etycznej treści, zdaje się, autor przywiązuje najwięcej wagi, gdyż obok paru sprawozdawczych *(Etyka* Wundta, etyka nierogacizny, pesymizm i etyka) znajdujemy na końcu oryginalny p. t. „Zarys syntezy.“ Nie można jednak powiedzieć, żeby poglądy etyczne p. J. jasno się przedstawiały czytelnikowi, zwłaszcza wobec sprzeczności, zachodzącej między sprawozdaniami a tym artykułem, wyrażającym niejako nowe credo autora. Literatura nasza nowsza t. zw. postępowa była i jest dotychczas przeważnie odzwierciadlaniem tylko pewnych prądów myśli europejskiej. W filozofii hołdowała ona pozytywizmowi, w sztuce — realizmowi, w etyce — utylitaryzmowi. Nie mamy w polskim języku, o ile mi wiadomo, ani jednego dzieła, zasługującego na uwagę, z którego czytelnik mógłby poznać dokładnie inne teorye moralne, a zwłaszcza obszerny odłam moralistów, których możemy objąć, za przykładem Leckego, nazwą szkoły intuicyjnej. Nie dowie się też czytelnik o niej i z artykułów p. Jellenty, gdyż ani wzmianki ogólnikowe o przeciwnikach utylitaryzmu, ani obszerne streszczenie etyki Wundta braku tego nie zapełnia, zwłaszcza wobec nieprzychylności autora dla idealizmu filozofa niemieckiego.

P. Jellenta jest jawnym zwolennikiem utylitaryzmu w artykułach sprawozdawczych (por. artykuł „Etyka nierogacizny“), a o ile sądzić możemy, zna on bliżej tylko tę teoryę. Na str. 232 zarzuca on Wundtowi, iż ten „stworzył sobie sztuczną dosyć różnicę między motywem a celem.“ Ta różnica istotnie nie istnieje dla utylitarysty; jest ona głęboka i zasadnicza dla innych szkół moralnych oraz dla poczucia ogółu. Na str. 237 autor powiada: „Nieznane objaśnia się przez znane. Z tej prawdy wychodząc, ocenialiśmy pomysły Wundta przez

---

2)

Andrzej Niemojewski.

MAJÓWKA.

V.

Ach, dla idei, tak, dla idei
Każdy człek zrobić coś umie,
Byle nie stracił resztki nadziei,
Że ją choć trochę rozumie!..

Lecz są idee, dla których nie trza
Zbyt suszyć mózgu w zadumie,
Wiszą jak gruszki pośród powietrza,
Każdy je łacno zrozumie.

Same się do nas miłośnie garną,
Migocąc w świateł przezroczu;
Weźmy naprzykład rzecz popularną:
Ideę niebieskich oczu.

Czasem błyskaniem strzelą złowieszczem,
To znów namiętnie gołębim,
Taka idea przejmie nas dreszczem,
Gdy w niej się trochę zagłębim!

Tę myśl wzbudziła we mnie sąsiadka,
Gdym na pokładzie w uboczy
Niemal przypadkiem spojrzał z ukradka
W jej modre, bezdenne oczy.

VI.

Dziewczę oparło pierś na barycrce,
Młodość jej lica różowi,
A we mnie zwolna topniało serce,
Jak w „Świteziance“ strzelcowi.

Nawet wyznaję stylem poety,
Żem uczuł w tak zwanem „łonie“
Dziwną sympatyę dla tej kobiety,
Żem czuł, jak głowa mi płonie.

Cud — kapelusik przyćmił jej czoło,
Brwi jak jaskółki w przelocie
Nad rzęs gajami biegły wokoło,
Włos — heban kąpany w złocie.

Uśmiech jutrzenki, urok dziecinki,
Figura marzącej jodły,
Z pod parasolki stroiła minki,
Oczy dyskusyę już wiodły.

Wiodły dyskusyę zapamiętałą,
Z mojemi wiodły oczami
O prawo hołdu!.. Byłbym o mało
Zapomniał, żeśmy nie sami;

Że pasażerów tłumi się nawał
Po statku nad Wisły nurtem —
Kto detalicznie uczuć nie dawał,
Ten łatwo odda je hurtem.

Wtem jak grzmot pośród jasnych niebiosów
Gdy znikąd nie widna chmurka,
Głos zabrzmiał niby razem sto głosów:
„Hej, panie, to moja córka!“

Na beczce siedział jegomość tłusty,
A przy nim nie mniej otyła
Ze ściągniętemi złowrogo usty
Jejmość się usadowiła.

Cenię rodziców, gdy śród nich kwitnie
Córa, lecz trza oprzytomnieć,
Kiedy mi muszą aż zbyt dobitnie,
Że to ich córa, przypomnieć.

Jegomość sapał piersią, jak tłokiem
Wzburzona lokomotywa,
Mierząc mnie przytem latarni okiem,
Były w tem „wyższe motywa...“

Zaraz dotknąwszy brzeg kapelusza,
Nazwisko me wymieniłem,
Zaraz w latarni stajała dusza,
Wejrzeniem darząc mnie miłem.

Mamie złożyłem hołd z uniżeniem,
A córce już w uniesieniu —
Czego nie wolno przed przedstawieniem,
To wolno po przedstawieniu.

Dobyto różne zapasy z paczek,
Kurczęta i cielęcinę,
Znalazł się nawet niezły koniaczek
I konfitury mamine.

Improwizacya na temat taki
Ścieśniła znajomość krótką,
Przytem jegomość chrupał kurczaki,
Trzęsąc owisłą w dół bródką.

porównanie z bardziej zrozumiałemi doktrynami eudemonizmu" — jest to oczywiście stanowisko subjektywne, charakteryzujące sposób myślenia autora. Jeszcze wyraźniej wypowiada się on na str. 233: „Niech godłem postępowania zamiast „użycia" Epikura, Holbacha, Lamettriego, zamiast „pożytku" Benthama i Milla — będzie oczyszczona z ucieeh przemijających „rozkosz" Arystotelesa, szczęśliwość jak była tak i będzie gruntem przepisów moralno-społecznych."

Od czasu napisania tych artykułów zmieniły się poglądy autora. Uczuł on niedostateczność utylitaryzmu i w „zarysie syntezy" przyznaje, że jest on „niedostateczny, niewyczerpujący wszystkich zagadnień etyki" (str. 271). „Skoro tylko możliwym jest wyrzut sumienia nawet w wypadku, kiedy niczyje bezwarunkowo dobro, niczyje szczęście nie zostało narażone, ani uszczuplono nawet, powaga prawa i opinii nietknięta, tedy oczywiście istnieć musi etyka czysto indywidualna, która ze sprawą moralności społecznej nic wspólnego nie ma" (s. 277). Myli się jednak autor, gdy sądzi, że „wszyscy etycy dotychczasowi, prócz greckich... widzą tylko tę drugą" (str. 281). Głównym bowiem zarzutem, niejednokrotnie wystawianym przeciwko utylitaryzmowi przez szkołę intuicyjną, jest właśnie pomijanie tego, co on nazywa etyką indywidualną. Jego własny kult woli zresztą przypomina bardzo poglądy stoików. Żałować należy, że p. Jellenta zmieniwszy tak zasadnicze zapatrywanie swoje, nie przerobił odpowiednio innych artykułów, zbierając je do powtórnego wydania, a zwłaszcza że nie przejrzał powtórnie Wundta i nie ocenił go ze swego nowego stanowiska. Jeśli słusznem jest, że zbiór artykułów nie stanowi jeszcze książki, to tem bardziej możemy zastosować wymaganie jednolitości myśli od wydanych pod jedną okładką artykułów.

Z artykułów innej treści polecić można historyozofię. Jest to obszerne sprawozdanie z dzieła Kariejewa p. t. „Zasadnicze zagadnienia filozofii dziejów." Pomimo iż autor tej książki nie wznosi się do syntezy całości, nie stoi wyżej od zwykłego stanowiska przy rozwiązaniu zagadnień filozofii dziejów, przedmiot jest przez niego traktowany sumiennie i w wysokim stopniu sympatycznie. Porusza on wiele zagadnień dotąd pomijanych przez historyozofów, a związanych ściśle z postępowemi społecznemi dążeniami chwili obecnej. Kto nie mógł przeczytać dzieła tego sumiennego profesora, skorzysta zapewne ze streszczenia p. Jellenty.

W ścisłym związku z poruszanemi w tym artykule zagadnieniami zostaje inny: „czy społeczeństwo jest organizmem?" Jest to krytyka kilku dziwacznych teoryj, polegających na zestawieniu społeczeństwa ze zwierzęciem. Zgadzając się zupełnie z wywodami autora co do nielogiczności tych analogij, zrobię dwie uwagi, jedną — dotyczącą tytułu, drugą — treści. Wziąwszy za tytuł: „czy społeczeństwo jest organizmem?" p. Jellenta przez współbrzmienie popchnięty został do wciągnięcia w zakres swego przedmiotu tak zwanej organicznej szkoły prawa państwowego, która będąc poważnym kierunkiem myśli w zakresie tej umiejętności, wynikłym pod wpływem socyalizmu francuskiego jako reakcya przeciwko krańcowo-indywidualistycznym poglądom końca XVIII stulecia (w Niemczech odzwierciedlił je Wilhelm Humboldt), nie ma nic wspólnego z bawieniem się w analogie pomiędzy kolejami żelaznemi a tętnicami itp.

Wyraz organizm ma znaczenie szersze, niż istota żywa. Sąd „istoty żywe są organizmami" — nie jest identycznym, orzeczenia zawiera tu podmiot jako część. Organizmem w szerokiem znaczeniu nazywamy całość, której wszystkie części są z sobą ściśle („organicznie") skojarzone, służąc wspólnym celom. W tem znaczeniu używają tego wyrazu przedstawiciele szkoły organicynej prawa państwowego (Krause, Ahrens, Mohl), gdy określają państwo jako „organizm urządzeń kierowanych zbiorową wolą" (Mohl). Teorye zaś, którym głównie poświęcił artykuł swój p. Jellenta (szkoła prawa organicznego jest przedstawiona pobieżnie i z najmniej charakterystycznej strony), mają na myśli nie organizm, ani też bezpośrednio niższe pojęcie istoty żywej, ale jeszcze niższe — pojęcie zwierzęcia. Gdyby autor był użył tego wyrazu w tytule, uwolniłoby to czytelnika od nieporozumień, a jego od pokusy w sposób sztuczny wiązać dwie doktryny, nic z sobą wspólnego niemające.

Wł. A. K.

METAFIZYKA W ŚWIETLE NAUKI.

(Dokończenie).

Niezrażony niczem autor postępuje dalej. Przytaczamy w skróceniu bieg jego myśli.

Najpierwszą czynnością w roztrząsaniu wszelkiego zagadnienia metafizycznego musi być czynność następująca:

Oddzielić pierwiastki metempiryczne i przystąpić do traktowania empirycznych, aby odciągnąć od nich nieznane — jeśli to jest możliwem, lub też, gdy jest to rzeczą niemożliwą (sądzimy, że zawsze niemożliwą) uszeregować osobno pierwiastki owe, jako transcedentalne.

Wyodrębniwszy poznane i poznawalne od nieznanego i niepoznawalnego, przystępujemy do operowania ilościami znanemi w celu wykrycia nieznanych. Autor zupełnie słusznie zauważa, że istnienie wielkości nieznanej niekoniecznie musi zakłócać dokładność rachunku, opartego na jej funkcyach znanych. Powierzchnia kuli i powierzchnia jej wielkiej płaszczyzny — dwie wielkości, niedające się dokładnie wyrazić w liczbach, gdyż w skład ich formuł wchodzi π (stosunek obwodu koła do jego średnicy), niedające się oznaczyć w liczbach skończonych, niemniej wszakże dowieść możemy, że powierzchnia kuli jest ściśle 4 razy większa od płaszczyzny koła, zakreślonego tymże promieniem. Tak samo niezależnie od tego, czem jest w sobie czas, czy podmiotową formą zmysłowości, czy czwartym wymiarem przestrzeni (Lagrange), czy też funkcyą o zmiennej niezależnej (Newton) — mierzenie jego, mierzenie przerw pomiędzy zjawiskami staje się rzeczą realną; tutaj transcedentalizm znika, ale nie powtórzymy za autorem: „tajemnica rozwiewa się." Prawo ciążenia jest ściśle, chociaż jego stronę transcedentalną, a mianowicie, czem jest ono samo w sobie, przyciąganiem, folowaniem, czy też ciśnieniem, pozostawia się nieokreśloną. Zależność czucia od podniety (prawo Fechnera), prawo kojarzenia się wyobrażeń — są również prawami ścisłemi. Rozumując analogicznie, dalej autor sądzi, że ścisłe poznanie takich pierwiastków metempirycznych, jak: siła, przyczyna, materya również powinno być osiągnięte naprzekór ich pierwiastkom transcedentalnym. Trudno teraz zrozumieć, o jakie właściwie ścisłe poznanie tych pierwiastków Lewesowi chodzi. Jeżeli idzie o empiryczną ich stronę, bo wszakże podług wyłożonego powyżej planu postępowania z zagadnieniami metafizycznemi pierwszym krokiem jest odrzucenie jego elementów nadzmysłowych, to wszakże nauka nigdy nie myślała o wyłączeniu ich ze sfery swoich poszukiwań, i, nie zastanawiając się nad tem, czem jest właści-

---

Potem otarłszy z czoła deszcz potu,
 Jak mim jął mówić z godzinę;
Cierpliwiem słuchał tego turkotu,
 Najsłodszą przybrawszy minę.

VII.

Mówił, że niegdyś radcował w świecie,
 Że na Płock droga wypada,
Że właśnie zdąża on, żona, dziecię
 Na licytacyę sąsiada.

Że mu to przykro... ale cóż robić,
 Gdy niebo tak rozkazało,
Że się pomału zaczyna drobić
 Wielka posiadłość na małą.

Że choć nie nad stan, ale nad kieszeń
 Żyją dziś obywatele;
Że kapitały czekają zrzeszeń,
 Poczem spodziewa się wiele.

Że sam uciułał już kapitalik,
 Który przekaże na dziecię;
Że „dziecku" myśli wyprawić balik,
 Że dałby je i... poecie!

Lecz dziś poeci dawnego błędu
 Nie mażą zaletą nową,
I bez żadnego machają względu
 Wierszami nad „siwą głową."

Że tam ktoś kiedyś miał dewastować,
 Że śród nich kilku jest marud,
Czy się już godzi kompromitować
 Przed zagranicą nasz naród!?!..

Że tylko „prądy rozkładcze" mogą
 Szarpać „uczciwe nazwiska"
I mieszać dawną spokojność błogą,
 Że kraj nic na tem nie zyska.

Że gdyby tylko radców słuchano,
 Ludzkość brnąc w nocy przestworze
Znów by ujrzała świetliste rano,
 Amen... co dożyć daj Boże!

Trudno pomieścić w jednym rozdziale,
 Co mi pan radca wykładał,
Zwłaszcza żem córce okiem w zapale
 Nie jedno pytanie zadał.

Mama ciepłymi wiatru podmuchy
 Uśpiona, w głos już chrapała,
Po ustach skrzętne łaziły muchy,
 Córka je chustką spędzała.

Ten powiew letni, te wód pluskania
 I na mnie wpływ swój wywarły,
Czułem, że oczy mgła mi zasłania,
 W której się barwy zatarły.

Jeszcze mi słowa radcy brzęczały,
 Jak rój komarów przy uchu,
Czasem brzęknęły w nich komunały
 Jak bąki — zasnąłem w duchu.

VIII.

Pan radca patrzył na mnie zdumiony,
 Nos jak czerwony futerał
Skrobiąc, aż zaśmiał się jak szalony,
 Gdym drgnął i oczy przecierał,

Ludy, co począć z tak głupim fantem!..
 Radca się śmieje falsetem,
Radczyni basem, córka dyszkantem,
 Śmieją się ze mnie tercetem...

Produkcya śmiechu jest koncertowa!
 Boć rzecz to ucieszna nieco
Gdy ktoś wykłada a jego słowa
 Innych do drzemki podniecą.

A radca huczał: „To doskonałem!"
 I świszczał śmiechem jak piła.
„No daj odpowiedź!" A ja mniemałem,
 Że mi się ona wyśniła...

Znów się zjawiły cenne specyały,
 Sardynki, szprotki, kotlety,
Wszystko to rączki dam dobywały
 Z jakiejś zaklętej serwety.

Pan radca kwitnął w boskim humorze
 I w uśmiech przybrał się błogi,
Sam porozdzielał widelce, noże,
 Dodając różne przestrogi.

IX.

„Szlachcicem?!?" parsknął ktoś za mną [śmiechem
 Drgnąłem jak Faust na wycieczce,
Gdy wiatr zahuczał słów jego echem
 A on sam z sobą był w sprzeczce.

Patrzę, tuż z boku cień ludzki stoi
 W płaszczu jak w todze Charona

wie siła, prowadziła i prowadzi dotąd badania nad stosunkowem jej naprężeniem, prawami współdziałania itd., nie zastanawiając się nad tem, czem jest materya, starała się zbadać każde dostępne jej ciało; jeżeli zaś idzie o zbadanie strony metempirycznej tych pierwiastków — bo przecie autor postanowił albo zetrzeć w proch ową zawadę-metafizykę, albo zaprządz ją do swego rydwanu — to wszakże, jak sam orzeka, jest to niemożliwem. Możnaby jedynie przypuścić, że autorowi, zgodnie z jego określeniem metafizyki, jako „nauki zasad najogólniejszych“ („Przedmiotem nauki są prawa zjawisk zmysłowych; przedmiotem metafizyki — prawa praw“ str. 66) idzie nie o zbadanio praw, rządzących nimi, wskutek których to wyjawiają one w zjawiskach zmysłowych znane nam lub nieznane jeszcze prawa. A może w przyszłości po niejakiem zapełnieniu faktami owej nauki udałoby się odkryć prawo, rządzące owemi prawami praw — jedno Prawo Natury... zadanie bardzo szczytne, niemniej wszakże przedwczesne. Daremnie, sądzę, myśliciel angielski stara się powołać do życia istotę, której dotychczas fikcyjną tylko strawę podać jest w stanie. Nauka bez faktów istnieć nie może. Jeszcze jedno określenie metafizyki empirycznej spotykamy w dziele Lewesa; przy pasowaniu jej przez autora na naukę zakreślono jej przedmiot jako „wyodrębnienie pewnych najogólniejszych zasad, takich, jak przyczyna, siła, życie, duch itd. od nauk, które zazwyczaj każą zasad owych się domyślać — oraz wykład o ich pierwiastkach składowych i logicznych, zawartych domyślnie w owych zasadach i o stosunkach owych zasad“ (str. 77). Zatem nietylko zbadanie wzajemnych stósunków między pierwiastkami metafizycznymi, ale i poznanie ich części składowych stanowi teraz podług autora przedmiot jej dociekań, co się znowu sprowadza — do wkroczenia w dziedzinę nauk już istniejących przy empirycznem badaniu części tych składowych, zaś do niemożliwości przy ich metempirycznym rozbiorze. Znaleźliśmy się w labiryncie sprzeczności bez wyjścia.

Określiwszy tedy „jasno“ swój przedmiot, metodę, a następnie jeszcze miejsce w dziedzinie badań, niezajęte przez żadną inną naukę, metafizyka empiryczna, powołana do władzy, rozpoczyna swe panowanie. Aby zaś nie być tytułem pustej w rzeczywistości księgi, ciągnie swe rozumowanie dalej.

Wskutek niezbędnego oddzielania w każdem zagadnieniu danych empirycznych od metempirycznych, strony rozwiązalnej od nierozwiązalnej, powstają pytania: *co* jest nierozwiązalne i *jak* się o tem przekonać? co sprowadza się do zagadnień o granicach poznania i zasadach pewności.

Jako wstęp do zagadnień powyższych podane są prawidła filozofowania w charakterze twierdzeń *a priori*, pewników, które należy przyjąć dogmatycznie. Rozpatrywać ich nie będziemy, przechodziłoby to zakres niniejszego artykułu; zauważymy tylko, że autor zamierza przytoczyć je „z takiemi zmianami, jakie nadadzą im ściślejszą zgodność z poglądami,“ które się ukażą w dalszym ciągu dzieła. W tej zapowiedzi widzimy brak pierwszych zasad filozofowania. Jedno z dwojga: albo podane przez autora prawidła są pewnikami, albo też nie są nimi. W każdym razie dowolna ich zmiana wpłynie na szukany rezultat ostateczny i uczyni go w pierwszym wypadku fałszywym, jako wyprowadzony z zasad fałszywych, w drugim wypadku — apriorystycznym, nie zaś wyprowadzonym dedukcyjnie z postulatów niezaprzeczonych.

Granice poznania zajmują pozostałe miejsce w rozpatrywanym przez nas tomie pierwszym *Zagadnień*. Aż do wyjścia zatem *Zasad pewności*, nie przyswojonych jeszcze literaturze naszej, powstrzymamy się z dokładnym zdaniem sprawy z rezultatów, do jakich doszedł Lewes. Lecz rzecz to mniejszej wagi, gdyż, jak widzieliśmy, główne zasady i myśli autora wypowiedziane zostały w pierwszym tomie dzieła jego... Co się tyczy granic wiedzy, to zobaczymy poniżej, że tytuł ten obejmuje zbiór luźnych prawie rozprawek na tematy filozoficzne. Czytelnik dowiaduje się tutaj o bardzo ważnych wprawdzie kwestyach, lecz tak mało mających z sobą związku, że, utraciwszy nareszcie wątek myśli i cel autora, zapytuje, do czego to wszystko zmierza? Ale autor nic nie odpowiada i, wiążąc opowiadanie nic nieznaczącym zwrotem, że rozstrzygnięcie zadania, poruszonego w rozdziale następnym, niezbędne jest dla należytego pojmowania przyszłych wniosków, mówi bez końca, to o nadużywaniu hypotez, to o prawach przyrody, to o realności abstrakcyi, to o typach moralnych itd. itd. i, błądząc wraz ze słuchaczem po manowcach filozofii, prowadząc go przez lasy i góry metempiryki, pozostawia go nareszcie przy końcu tomu z głową naładowaną koncepcyami metafizycznemi — samego „mitten in der Türkei...“

Właściwe zagadnienie o granicach wiedzy rozrzucone jest po wszystkich prawie rozdziałach tej części dzieła. Postarajmy się je zebrać. W kwestyi pochodzenia wiedzy, źródeł poznania autor nie zgadza się ani z sensualistyczną szkołą Locke'a, ani z idealistyczną Leibnitza, i biorąc na siebie pogodzenie wrogich partyj, twierdzi, że na hypotezę sensualistyczną można się zgodzić, jeżeli przez zmysły rozumieć będziemy wrażliwość *i prawa jej* działania, zaś na hypotezę szkoły apriorystycznej można się również zgodzić, jeżeli pod nazwą umysłu rozumieć będziemy ten *proces*, za pośrednictwem którego najrozmaitsze wrażenia grupują się razem i w taki sposób po szeregu kolejnych ewolucyj dają wytwory, tak daleco niepodobne do pierwotnych wrażeń, tj. do swoich części składowych, jak gdyby pochodziły z jakiegoś innego źródła. Pole spekulacyi przedstawiają nam światy: zmysłowy, pozazmysłowy i nadzmysłowy, podział, odpowiadający podziałowi wiedzy na pozytywną, spekulacyjną i metempiryczną.

Świat zmysłowy obejmuje tylko bezpośrednie oddziaływanie wrażliwości naszej w zetknięciu z porządkiem zewnętrznym, poznajemy rzeczy według ich działania na nas i przez oddziaływanie naszej czuciowości.

Tu następują znane rozumowania, związane z rozbiorem procesu czuciowego. Rozbiór ten, jak wiadomo, wykazuje, że doznajemy jedynie określonych uczuwań, gdy wpływy, wywołujące proces nerwowy znajdują się w ściśle zakreślonych granicach. Na obu końcach widma słonecznego, znajdują się drgania niewidzialne dlatego, że tętno ich jest albo zbyt prędkie, a fale zbyt krótkie, albo zbyt wolne, a ich fale zbyt długie. Zatem z pośród niezliczonych wpływów, którym ulega siatkówka nasza, niektóre tylko wywołują odpowiedź w postaci czucia. Zakres przeto czucia jest ograniczony *ilościowo*. Jest on ograniczony także stosunkowo, *względnie*. Ciężar, ważący trzy funty, wywiera ciśnienie na rękę; ale wrażenie ciśnienia nie wzrośnie, jeżeli do pierwotnego ciężaru dodamy mniej od jednego funta, pomimo że ciśnienie pół funta, a nawet pół uncyi daje się czuć wyraźnie samo przez się. Świat zmysłowy ogarnia zatem zaledwie cząstkę bytu. Pojmując to, nauka zajmuje się przeważnie światem pozazmysłowym (pomiary fal, analiza spektralna, obliczanie dróg komet, dostępnych

---

I palcem skubie u bródki swojej
  Wznosząc szyderczo ramiona,

Z pod brwi zrośniętych wzrok drwiący
  Zaprawny cynizmu dozą [strzela
A śmiech jak z gardła Mefistofela
  Faustowską przejął mnie grozą.

I szczerząc zęby, jak czaszka trupia,
  „Szlachcicem? syknął raz wtóry,
Ja sądzę, że się pan zaskorupia
  Mimo pozornej brawury!

X.

Rzekłszy to z jakąś werwą szaloną
  Wcisnął kapelusz na czoło,
Tymczasem liczne słuchaczów grono
  Jęło otaczać nas w około.

Na czele żydów zebranych tłumnie
  Stał radca w własnej osobie,
Rozwarłszy usta, milcząc rozumnie,
  W tył ręce założył obie.

Wstrzymywał oddech, potniał. sumował,
  Mlaskając czasem językiem,
Znać jeszcze całkiem nie wymiarkował
  Czyim był mówca rzecznikiem.

Aż zbladł, gdy mówca tak bez ogródek
  Zrobił wyznanie swej wiary,
Pomrużył oko, wydął podbródek
  I sięgnął po okulary.

Z namysłem jednak usta otwiera
  Jak karciarz stary a kuty,
Nim pocznie miażdżyć swego partnera,
  Pierwej oblicza atuty.

Ale radczyni w trwodze kobiecej
  Pragnęła zmieszać mu karty,
Przytem i córka przez mamy plecy
  Wścibiała nosek zadarty.

Mówca zaś widząc naprzeciw siebie
  Taki dziwaczny dylemat,
Spojrzał po wodach, brzegach i niebie
  I na ten rozpoczął temat:

„Chociaż miotnąłem się tak gorąco,
  Nie szlachtym bronił przed chwilką,
Szlachta jest kastą wymierającą,
  Jej kobiet szkoda mi tylko...

Nie mówię tego jako romantyk,
  Mnie może natchnąć miłośnie
Nawet i nagi helleński antyk,
  To działa... tak... przez przenośnię...

Cynizm życiowy jest mym geniuszem,
  Ja sam zaś, mówiąc nawiasem,
Niedonoszonym Prometeuszem,
  Silnie odczuwam to czasem.

Ot, w moich oczach nagle ta Wisła
  W boginię się zamieniła
I w swem łożysku na wznak owisła
  I piersi gazą nakryła.

A nasz parowiec, smarkacz z kołczanem,
  Z uśmiechem nad nią ulata
I rzekł Wenera z małym bałwanem
  Miłosne dziwactwa płata!..

Z przenośni wywód wszakże daleki,
  Jak głupie serce człowiecze,
Boć statek na dnie utonie rzeki,
  Rzeka do morza pociecze.

O głupie rzeki! O głupie statki!
  Ach lepiej grób znaleźć w morzu,
Niżeli złożyć swoje manatki
  Na mokrej Wenery łożu —

Pod ołtarzowe złożyć zamęście
  Na wieki wieków wiekowe
Świętej pamięci wolność i szczęście
  I świętej pamięci głowę!..

Mknij ludzki statku po falach górą,
  Strzeż się podwodnej ławicy,
Zanim zostaniesz małżeńską rurą
  U boku twej połowicy!..“

Tu przerwał mówcy aplauz szalony,
  Śmiechy, żarciki strzeliły,
Wszystkie kobiety gęste welony
  Na skromne twarze spuściły.

Radca zaś stojąc pośród swej świty,
  Jak indyk począł się pienić:
„Ależ ten pan jest nieprzyzwoity,
  Ja tu się muszę rumienić!“

(D. c. n.).

nam jedynie w malutkiej swej części itd.). Trzeciego działu istnienia, za którym obstaje teologia i metempiryka, dziedziny nadzmysłowości, autor nie uznaje. Narzędziem poznawania owej wiedzy wyższej są nie zmysły, lecz bezpośrednio dusza, „intuicya intelektualna“ (Schelling), „tkwiąca w nadmiarze czucia“ (Jacobi). Istnienie takiej potęgi wymaga dowodu, kiedy zaś zostanie udowodnionem, może posłużyć tylko do zbudowania koncepcyj, niemających żadnej analogii, lub żadnego punktu przecięcia się z koncepcyami, zbudowanemi na podstawie doświadczeń zmysłowych, rozumie się, dopóki metempiryka nie wykaże przejścia od idealnych swych konstrukcyj do rzeczywistości konkretnej.

Rozwiązując nareszcie zagadnienie o właściwych granicach poznania, tłomaczy autor, że jego celem jest poznanie przyczyn. Zjawiska przedstawiają się nam w doświadczeniach jako zależne od zjawisk innych, poprzedzających je, albo z niemi współistniejących; zmieniają się też wraz z tamtemi, gdyż są jak gdyby ich „funkcyą.“ Oddzielonym owym zależnościom ich i związkom, jako abstrakcyom, dajemy nazwę *przyczyn.* Poszukiwanie takich przyczyn jest rzeczą ściśle naukową. Poznanie zaś prawa tej zależności dwu zjawisk prowadzi nas już do kresu badań. Zapytywać jeszcze, dlaczego takie prawo rządzi danemi zjawiskami, znaczyłoby tyle, co zapytywać, dlaczego $2 \times 2 = 4$ i przekraczałoby realne granice i warunki poznania. Granicą poznania jest zatem znalezienie — jak się autor matematycznie wyraża — „formy funkcyi.“

Uboczne kwestye, wyłożone w tej części dzieła, same przez się świetnie obrobione, wykazują nam na każdym kroku rzeczywistą, głęboką wiedzę myśliciela angielskiego, zdolność jego do obracania się śród najzawilszych trudności metafizycznych, ale rażący u popularyzatora brak planu w układzie dzieła (wyjątek stanowi pierwsza część wstępu) zaciera doznane wrażenia. Osiem rozdziałów zasad psychologicznych, przyczepionych do wstępu i tworzących systematyczny program psychologii, mogłyby być śmiało wykreślone i umieszczone jako całość odrębna w oddzielnej broszurze wraz z „odkrytem“ przez autora „widmem psychologicznem.“ Jest to zwyczajna analogia pomiędzy trzema zasadniczemi barwami widma słonecznego: czerwoną, zieloną i fioletową z jednej strony i trzema rodzajami podrażnienia nerwomięśniowego: uczuwaniem, myśleniem i ruchem — z drugiej, analogia, którą Lewes dlatego tu wygłasza, że „pragnie się osłonić przeciwko możliwości ubieżenia go przez innego pisarza“ — próżność literacka, nielicująca z powagą autora.

Wogóle dzieło to przypomina pod wieloma względami zalety i wady obrazów Matejki. Szczegóły piękne, całość chaos; jest to zbita masa ciał o stu głowach, dwustu rękach, dwustu nogach; patrząc na nią, nie ręczymy, „czy nie zmylił się mistrz taki,“ czy nie umieścił czasem jednej ręki, lub też nogi za wiele. Na jednym i tym samym obrazie widzimy i słońce i gwiazdy, dzień — i noc; u Lewesa spostrzegamy podobne, niedające się pogodzić sprzeczności. Anioły Matejki, choć unoszą się w przestrzeni ponad zwykłymi śmiertelnikami, jednak niczem się od ostatnich nie różnią, chyba więcej jeszcze uplastycznionymi kształtami; metafizyka Lewesa uzmysłowiona jest do tego stopnia, że realność traci przy niej na blasku. Jednakże zwykły widz, po wpatrzeniu się w postać uzmysłowionego anioła, pojmie, że jest to tylko człowiek; przeciętny zaś czytelnik po wysłuchaniu metafizycznych wywodów Lewesa spostrzeże, że transcedentalizm rozwiał się jak mgła z pod pióra filozofa, że pozostała jedynie znana już rzeczywistość.

Uwagi powyższe nie powinny nas zniechęcać do dzieła myśliciela angielskiego. Czytelnik dowie się w rzeczywistości bardzo mało o zagadnieniach metafizycznych, ale dowie się może wiele o rzeczach realnych. Zostanie on zdziwiony, ale nie zawiedziony. Wszakże i sam autor minął się z pierwotnie postawionym sobie celem i, jak w przedmowie wyznaje, pisząc przygotowanie do psychologii — otrzymał coś całkiem odrębnego, bo wstęp do filozofii nauki. W każdym razie zasługą książki, mówiąc nawiasem, świetnie na język polski przełożonej, jest bez wątpienia pobudzenie do żywszego tętna myśli czytelnika, która, bądź co bądź, zajęta wciąż hygienicznem trawieniem faktów powszedniego życia, musiałaby wreszcie zniedołężnieć.

Henryk Cylkow [1]).

E S T E T Y K A

NA PODSTAWIE NAUK PRZYRODNICZYCH.

Nowoczesny rozwój nauk przyrodniczych nadwątlił podstawy estetyki dotychczasowej. W miejsce dawnej, metafizyczno-dedukcyjnej, która wychodząc z zasad najwyższych, studyowała arcydzieła, występuje pozytywno-indukcyjna nauka o sztuce, rozpoczynająca swe poszukiwania od pierwszych szczebli drabiny tworów. Nowa ta teorya, do której budowy Darwin dostarczył cegieł, bada źródła i powstanie zmysłu piękna w przyrodzie, popędy artystyczne u zwierząt, pierwsze ślady ozdób ludzkich, rozwój ornamentyki i sztuki figuralnej i tą drogą dochodzi do sformułowania prawideł estetycznych. Carus Sterne, znany popularyzator niemiecki, podjął się przedstawienia dotychczasowych wyników tej nowej estetyki w formie przystępnej dla szerszej publiczności. *Natur und Kunst,* Studien zur Entwickelungsgeschichte der Kunst — oto tytuł jego dzieła [2]).

Pierwsza część zawiera treściwy przegląd początków sztuki. Sterne przedstawia czynności artystyczne zwierząt, obierając przykłady najbardziej charakterystyczne i pouczające. Opowiada o budowach ptaków australskich, które, według opisu podróżnika angielskiego Goulda, z ciężkich gałązek plotą otwarte altanki, ozdabiane następnie skorupkami, piórami i barwnymi kamykami. Zdaniem Goulda, krajowcy w swej architekturze nie rozwijają podobnego smaku.

Pierwsze ślady działalności artystycznej człowieka studyować można z jednej strony na pomnikach kultury przedhistorycznej, z drugiej na tworach ludów, pozostających dziś na najniższym poziomie rozwoju. Badania te przez długi czas wcale niemal nie postępowały, gdyż przedmiot ich leży na pograniczu dwóch nauk, etnologii i archeologii, tak, iż żadna nim się nie zajmowała. W najnowszych dopiero czasach pojawił się szereg prac, opartych na gruntownych wiadomościach historycznych, a zarazem na subtelnem zrozumieniu. Szereg ten zamykają świeże dzieła wiedeńskiego malarza-archeologa A. R. Heina: *Die bildenden Künste bei den Dyaks auf Borneo* [3]) i Maandera *Kreuze, Hakenkreuze und urmotorische Wirbelornamente in Amerika* [4]). Prace te potwierdzają pogląd, wypowiedziany przez Sternego, że podobnie jak całokształt kultury, tak i początki techniki i symboliki artystycznej u wszystkich ludów miały cechy pokrewne. Autor wykazuje, jak ornamentyka wszędzie rozwijała się z naśladownictwa kształtów roślinnych i zwierzęcych. A nawet Rafael i uczniowie jego, rysując ornamenty dla loggij watykańskich, kroczyli dalej drogą wskazaną przez naturę i uczynili ornament niejako tworem organicznym wyższego stopnia. W ten sposób dochodzi Sterne do wniosku, iż niema prawideł fundamentalnych piękna, któreby nie były zarazem prawami przyrody. Cyfra jest tajemnicą piękności form, podobnie jak piękna muzycznego.

Stwierdziwszy rozwój sztuki w okresach, w których nieświadomie wydobywa się z łona przyrody, w drugiej części swej pracy Sterne zajmuje się zagadnieniem, w jaki sposób artysta, stojący na wyżynie dzisiejszej kultury, ma odzwierciedlać świat i przyrodę. Czas przejściowy aż do całkowitego wytworzenia się nowych poglądów wywiera na sztukę współczesną wpływ hamujący i sprawia pewne zamieszanie. Chcąc odszukać kierunek prawdziwej sztuki, zastanowić się należy nad jej istotą i wartością. Sterne jest przeciwnikiem dzisiejszego malarstwa naturalistycznego. Nie zgadza się ani z jego treścią, ani z jego techniką. Malarze dzisiejsi twierdzą, że przedstawiają naturę zupełnie taką, jaka jest; tymczasem malują obrazy jakby posypane kredą, na które długo spoglądać trzeba, zanim odkryjemy, co właściwie wyrażają. Błędy *plein-air*'zystów wynikają stąd, że pragną oni przeskoczyć granice wytknięte im przez naturę; malarstwo było i będzie po wsze czasy sztuką, polegającą na tłomaczeniu. Musi ono z natury swej posługiwać się zawsze sztucznymi środkami, chcąc nadać przedmiotom swym cielesność i światło. Już przed lat dziesiątkami prof. Herman Helmholtz w wykładzie p. t. *Optisches in der Malerei* wykazał matematycznie, że malarz w obrazie swym musi kolory inaczej ustosunkować, aniżeli w przyrodzie, chcąc oddać wrażenie rzeczywistości. Biały płaszcz np., oświetlony promieniami słońca, nigdy w obrazie nie może otrzymać tego stopnia jasności, co w naturze; należy tedy krajobrazowi nadać kolory ciemniejsze. Malarz, pracujący pod gołem niebem, ma oko stępione światłem, podczas gdy widz, oglądający obraz w salonie zamkniętym, ma oko znacznie czulsze. Dlatego to impresyonista maluje na wycieczkach swych łąki i drzewa tak, jak je ogląda w przyrodzie, widz zaś znajduje, że posiadają kolor szpinaku pomieszanego z kredą, mającą wyobrażać światło. Każdy obraz, wykończony pod gołem niebem, powinien tedy po niejakim czasie być poprawiony przez malarza w pracowni. Sterne sądzi wogóle, że prawdziwe dzieło sztuki musi wyobraźni widza pozostawiać jeszcze funkcyę dopełniania i to w tem znaczniejszej mierze, im wyższym wymaganiom artystycznym ma odpowiadać. Prawda, że z każdego obrazu wygląda nietylko przedmiot przedstawiony i malarz, ale i widz; a słusznie twierdzi humorysta Lichtenberg, że gdy wół patrzy, to nigdy w zwierciadle nie ukaże się apostoł. Niewykształcone oko wieśniaka i dziecka lubi i podziwia naturalistyczną prawdę figury woskowej, obrażającej smak znawcy. Bezwarunkowa prawda, której wymagać należy od dzieła sztuki, o tyle więc musi być ograniczona, że nigdy wyobraźnia widza nie powinna być zaspokojona całkowicie, a tem samem sparaliżowana. W sprawach sztuki nie straciły jeszcze znaczenia swego słowa, wystosowane niegdyś przez Schillera do Goethego:

Der Schein soll nie die Wirklichkeit erreichen,
Und siegt Natur, so muss die Kunst entweichen *).

N.

---

[1]) Przez pomyłkę drukarską w zeszłym numerze do nazwiska autora dodano: *Dr. Red.*

[2]) Berlin, Allgemeiner Verein für deutsche Literatur.

[3]) Wiedeń, Alfred Hölder, 1890.

[4]) Wiedeń, Alfred Hölder, 1891.

*) Nigdy pozór nie powinien dosięgać rzeczywistości,
Tam, gdzie natura zwycięża, ginie sztuka.

LITERATURA I SZTUKA.

HERMAN SUDERMANN

jako nowelista i powieściopisarz.

Do najoryginalniejszych utworów malarza Böcklina należy obraz, przed kilku laty przez berlińską Akademię sztuk pięknych zakupiony: *Mater Dolorosa*. Na kamieniu spoczywa martwe ciało Chrystusa; przy zwłokach syna, z głową na piersi jego złożoną, klęczy Dolorosa. Okryta jest szatą niebieską tak, że oblicza zupełnie nie widać. W obłokach ukazuje się grupa aniołków, wśród nich znowu Chrystus jako dziecię: przywołuje matkę i zbolałą o istnieniu swojem zapewnia. Jest to w malarstwie pierwsza Madonna — bez twarzy. Pomimo to taka straszna boleść mówi z naprężonych mięśni ręki, któremi Marya obejmuje syna, że obraz potężno, przejmujące na widzu sprawia wrażenie.

W największym obrazie Sudermanna — w „Katzenstegu" uderza nas przedewszystkiem brak owych tonów, które w kompozycyi artystycznej w pewną wyraźną zlewają się fizyognomię. Utwór ten dziwnie przypomina „Madonnę" Böcklina. Czytelnik, a raczej widz, bo Suderman nie opowiada, lecz maluje, spotyka się tu z pojedynczą barwą, barwą wesela lub żałoby, z dźwiękiem radosnym lub grobowym, widzi jakąś jedną dłoń — gładką lub pomarszczoną, myślącą lub bezmyślną, zbolałą, noszącą znamię cierpienia, albo pogodną, smutkami życia jeszcze nietkniętą. Widok tej mówiącej dłoni przejmuje, zadziwia lub przeraża, czasem jednakże takie wzbudza niedowierzanie, że mimowoli w oczach jakichś, w obliczu pragnęłoby się wyczytać potwierdzenie zapewnień, jakie owa ręka składa. Niedowierzanie to wzrasta i potęguje się przy najdrobniejszym rozdźwięku w technice kompozytorskiej. Żal matki, opłakującej syna, pojmujemy; nie potrzeba nam widoku jej łez, aby w smutek jej wierzyć: istota bowiem tego smutku jest prawdą. Sudermann karmi nas *prawdopodobieństwem* jakichś funkcyj psychicznych, nadając im pozory prawdy. Nie słyszy pytań: skąd, dlaczego, nie spostrzega, że widz po innej, niż on, linii do rozwiązania zdąża; z czynników napozór prostych wysnuwa całą sieć nici tak poplątanych, że systematycznie, równo na kłębek nawinąć ich nie może. Stąd dowolność, brak planu, niekonsekwencya.

„Katzensteg" jest to droga, po której w r. 1807—8 baron von Schranden przeprowadza garstkę francuzów, zdradzając tym sposobem ojczyznę — Prusy. Baron jest to człowiek-zwierzę: brutalnością swoją zabija żonę; jedyne dziecko, Bolesława, oddaje na wychowanie do jakiejś ciotki, ponieważ przebywanie syna w domu przeszkadzało by mu żyć wedle upodobań. W zamku swoim żyje z młodą dziewczyną, nad którą ma władzę nieograniczoną i której mimo jej oporu używa jako narzędzia do wypełniania złych knowań i zabiegów. Ona to w nocy prowadzi francuzów przez Katzensteg na głowę prusakom. Patryotyczni Schrandenerowie, tj. poddani barona, podpalają zamek i pana zabijają. Bolesław, który zaciągnął się był do wolnych strzelców, a usłyszawszy o zdradzie ojca, zmienił swe nazwisko na Baumgarta, wraca właśnie z pochodu i w karczmie dowiaduje się o strasznem zajściu. Przyznaje się kolegom, że jest synem barona i udaje się do zamku. Tu spotyka Reginę, kopiącą dół na grób dla pana. Widzi ją napół nagą, z rozwianym włosem, pałającem okiem — istny obraz starogreckiego mistrza. Postać dziewczyny, którą uważa za uosobienie występku, przejmuje czystego młodziania wstrętem. Chciałby ją oddalić, wyrzucić, spłacić, lecz spostrzega, że bez jej pomocy zginąćby musiał marnie. Powoli dziewczyna ta staje się dla niego skrzydłem opiekuńczem, zbawieniem, pomocą; staje się dla niego potrzebą jej towarzystwo, ulgą—jej obecność. Z uczuć tych nie zdaje on sobie sprawy, bo kocha towarzyszkę lat dziecięcych, złotowłosą, bladolicą córkę proboszcza, tego samego, który ojcu jego odmówił był pogrzebu chrześciańskiego. Nie widział jej już dawno, lecz uważa ją za ideał, dla którego żyje: pozyskać ją jest celem wszystkich jego dążeń. Panna umiała zjednać sobie ufnego chłopca: pozyskała go wtedy, kiedy za dobrą uważała partyę. Opuszczony, zniesławiony syn zdrajcy dobrą partyą już nie jest. Panna zwraca więc swoje zapały ku niejakiemu Feliksowi Merckel, który jest śmiertelnym nieprzyjacielem Bolesława. Wzywa ostotniego na schadzkę. Bolesław powrócił był właśnie z wyprawy wojennej, podczas której Regina tęskniła za nim, bolała, czekała, nie wierząc, że on, jej bóg, powróci. Bolesław bezwiednie kocha Reginę, boi się jednak wyznać prawdę przed samym sobą, ponieważ miłość ta, według słów proboszcza, który bez żadnej podstawy publicznie za nią oboje wyklina, jest grzechem. Nazajutrz Bolesław znowu ma wyruszyć w pole: zostaje mu więc tylko parę godzin wieczornych i noc; jednak na schadzkę idzie. Wśród umizgów i grymasów panna Helena prosi go wreszcie, ażeby uwolnił Feliksa, ktorego za hardo obejście poprzedniego dnia uwięzić kazał. Zachowa mu za to gorące uczucie wdzięczności. Przez cały czas rozmowy Bolesław w myśli porównywa Helenę ze wzgardzoną Reginą, co nie wypada na korzyść „panny," karykatury wierności i sentymentalności pań niemieckich. Żegna więc pierwszą swoją miłość z uśmiechem pogardy i żalu — żalu za czas stracony i wraca, aby kochać prawdziwie, bez pamięci. Wraca za pożno. Podczas jego nieobecności Regina skonała. Zabił ją strzał jej własnego ojca, pijaka, którego wysłali Schrandenerowie, a na ich czele ojciec Feliksa, w nadziei, że pijak Hackelberg przy Katzenstegu spotka Bolesława i zamorduje go. Regina, niepokojem i przeczuciem nieszczęścia wiedziona, wyszła była na skałę, wyglądając powrotu pana. Trafiona strzałem, stoczyła się z góry w rzekę, skąd dobywa ją Bolesław. Domyśla się, kto jest zabójcą, nie chce jednak ciała ukochanej oddać na pastwę ludziom, którzy ją i jego unieszczęśliwili: chowa ją własnoręcznie pod posągiem czystej Dyany. Nazajutrz wyrusza w pole i ginie.

Bohaterami są oczywiście Regina i Bolesław, tendencyą wniosek, do którego po wielu latach bezsilnego szamotania się Bolesław wreszcie dochodzi... „Kiedyś, w godzinie ciężkiego smutku pytałem-sam siebie, co sprawia, że wola jej (Reginy) tak jest potężna, a sumienie słabe; jestże to głupota zwierzęcia, czy też złość szatana? Wtedy nie umiałem sobie na to odpowiedzieć. Dzisiaj, gdy już za póżno, zaczynam istotę jej pojmować: nie, nie była ona ani zwierzęciem, ani szatanem, była *człowiekiem*, wielkim, doskonałym człowiekiem. Była jedną z owych pierwotnych natur, które istniały wtedy jeszcze, kiedy głupota gromad ludzkich wszechmocnej naturzematce więzów nałożyć nie zdołała, kiedy każde młode stworzenie rozwijało się bez zapory, zlewając się z naturą w złem i w dobrem..." I Bolesław spostrzega pod mgłą, która dzieli byt ludzki od świadomości, siłę uśpioną, prasiłę: naturalność. Przeciwstawia ją kulturze, która wrodzone siły łamie, krzywi, niszczy, jak jego samego zniszczyła. Dowodzi więc Sudermann wielkości natury wobec nikłości dzisiejszej cywilizacyi. Nagle jednak obok szerokiego poglądu, stanowiącego dotychczasową osnowę utworu, wypływa uczucie, które obszernych ram obrazu prawie już ukończonego, uczepić się nawet nie może. Katzensteg rozpoczyna się obrazem klęski, sprawionej przez wojny Napoleońskie i że autor wspaniały ten obraz zabarwia gorzkim sarkazmem, który każe się domyśleć, iż pojmuje i uznaje ohydę uprawnionej dziś jeszcze rzezi. Jest to w każdym razie niekonsekwencya, błąd techniczny; gdybyśmy dokładniej znali duchową fizyognomię Bolesława, to uwierzylibyśmy może, że żołnierz istotnie drogą zastanawiania się doszedł do takiej tezy, z dziecka stał się człowiekiem, którego życie nauczyło mądrości filozoficznej. Ponieważ jednak postać Bolesława zaznaczona jest niejasno, rysami doraźnymi, barwami bardzo blademi i nikłemi, więc filozoficzne jego rozpamiętywania wzbudzają podejrzenie, które ostatni jego wniosek najzupełniej stwierdza. Sudermann sam widać w jasność swego opowiadania nie wierzy, stara się przeto czytelnikowi wyłożyć wszystko czarno na białem, a jednak Katzensteg zyskałby na wartości artystycznej, gdyby tendencya przebijała się z samego obrazu, bez komentarzy i zawikłanych objaśnień.

(D. n.).

DRAMATYCZNA LITERATURA NIEMIECKA.

1 lutego.

Nowe dramaty: Marcina Greifa „Ludwik der Bayer," Ryszarda Vossa „Die neue Zeit."

Marcin Greif, słynny liryk niemiecki, niezadowolony skromnymi wawrzynami poety książkowego, od lat wielu już dobija się do drzwi scen niemieckich. Lecz, rzecz dziwna: podczas gdy zazwyczaj znane imię toruje drogę do teatru najsłabszym próbom autorów, którzy sprzykrzyli sobie powieść i nowelę, Greif dla wielkich historycznych swych dramatów, przesiąkniętych w dodatku tyle poplątanym szowinizmem narodowym, nie znajduje innego pomieszczenia, aniżeli — w książce, w znienawidzonej przez dramatopisarza książce. Zjawisko to tłomaczy się w sposób bardzo prosty. Wobec zupełnego w Niemczech braku utworów dobrych, niejeden z dzierżawców sztuki scenicznej spróbowałby spieniężyć imię Greifa, gdyby dramaty jego były bodaj jako tako możliwe. Lecz natura, która tak sowicie wyposażyła tego poetę w tony liryczne, odmówiła mu zmysłu dramatycznego. Czerpiąc tematy z historyi niemieckiej, bezwiednie wydobywa on z głębin jej potężne momenty; bezwiednie, powiadamy, gdyż wcale ich nie widzi, obchodzi je i pisze sztuki nudne, rozwlekłe, pozbawione nerwu dramatycznego. Przykrość ta — na szczęście Greif jej sobie nie uświadamia — spotkała go świeżo przy pisaniu „vaterländisches Schauspiel," którego bohaterem jest Ludwik Bawarczyk („Ludwig der Bayer oder der Streit von Mühldorf" *). Zdarzenie historyczne znane jest powszechnie, a walka, która w niem tkwi, nie odnosi się do króla Ludwika, lecz do księcia Fryderyka Pięknego. Wiadomo, że książę austryacki, dostawszy się w ręce króla bawarskiego, wypuszczony został pod słowem, że pożegnawszy się z żoną, wróci do niewoli. Wywiązuje się z tego starcie uczuć, które należało wyzyskać. Lecz dla Greifa wcale ono nie istnieje, zbywa on je kilku słowy, dbając jedynie o charakteryzowanie Ludwika Bawarskiego. Niestety, i ta postać pod ręką nieudolnego dramaturga raczej maleje w porównaniu z historyczną, zamiast urastać. Mimo ociężałej budowy i nużącego, retorycznego dyalogu, nowej pracy Greifa uśmiecha się jednak nadzieja ujrzenia kinkietów teatralnych. Co prawda, nie w Berlinie, nie w Wiedniu, ani Monachium, lecz poczciwi obywatele starożytnego miasteczka Krainburg, leżącego tuż obok pola bitwy pod Mühldorf, uchwalili wystawienie tej roboty autora, który podobno urodził się w Krainburgu. W tych

*) Stuttgart, Deutsche Verlagsanstalt.

dniach czytaliśmy odezwę, którą aptekarz Haberl i piwowar Riedel wydali do narodu niemieckiego w sprawie tego przedsięwzięcia.

Lepiej poszczęściło się Ryszardowi Vossowi, który jest również dezerterem dożył się uczciwie krzyża zasługi pod sztandarem nowelistyki, zanim się puścił na roboty dramatyczne, na gonienie za powodzeniem scenicznem. Wiadomo, że Voss targa nerwy widzów rubasznie, bez najmniejszej delikatności, byle nie zachowały równowagi, tak niebezpiecznej dla dramatopisarza. Wyzyskawszy najgrubsze efekty wątków kryminalistycznych, postanowił spróbować sił na drodze wskazanej przez Ibsena i wystąpił z tragedyą p. t. „Die neue Zeit.“ Wystawiono ją w Monachium, a czyni ona podobne wrażenie, jak gdybyśmy słyszeli przez telefon wszystkie nowsze utwory Ibsena, grane równocześnie na kilku scenach. Bo oto mamy naprzód pastora Ibsenowskiego, żyjącego w najlichszej, oddalonej od wielkiego świata parafii. Pełniąc sumiennie swe obowiązki, dbając o zbawienie prostych, zdziczałych rybaków, doszedł do surowej, nieugiętej wiary, pod której wpływem własne jego serce stwardniało. Nie wie on, że żona jego Katarzyna przez długie lata walczyć musiała z własną naturą, wesołą i żywą, zanim oswoiła się z surowymi poglądami męża; nie przypuszcza, że syn jego, wysłany na wszechnicę, sprzeniewierzyć się może tradycyom rodziny pastorskiej. Lecz Jan wraca do domu jako dziecko „nowego czasu,“ hasłem jego jest krwawa walka o byt, o posiadanie, o rozkosze tego świata. Wierzy tylko w prawo ludzkości do szczęścia. „Nowy czas“ nastaje i dla nędznej wyspy rybackiej; znaleźli się przedsiębiorcy, którzy chcą na niej urządzić kąpiele. Stary proboszcz opiera się postępowi i chciałby wyprzeć bogactwo, które wciska się do chat ubogich rybaków, Powstaje stąd walka pomiędzy nim a gminą, syn zaś staje po stronie gminy przeciw własnemu ojcu. Wówczas stary proboszcz, wypierając się syna, wzywa żonę, aby wybrała pomiędzy nim a wyrodnem dzieckiem: ona zaś, zamiast wybierać, poświęca własne życie, chcąc wspólnym smutkiem pojednać zwaśnionych. U trumny jej proboszcz chyli głowę przed „prawem miłosci,“ a syn jego odnajduje „żywego Boga,“ którego daremnie szukał w bezsennych nocach. Tym sposobem i wilk syty i baran cały, lecz jaka jest właściwa idea przewodnia tej sztuki, tego żaden krytyk nie wypowie. Jest to, że tak powiemy, Ibsenowanie, lecz pozbawione owej surowej prawdy, która cechuje utwory mistrza, a zarazem zamyka im wrota scen.

Ladawa.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

OSADNICTWO POLSKIE
w Ameryce Południowej.

I.

„Andere Vögel, andere Lieder!“ Tak można powiedzieć o tem, co Dygasińcy i Chełmiccy pisali i piszą o Brazylii przed wyprawą d-ra Józefa Siemiradzkiego i o tem, co on o tym kraju teraz w *Bibliotece warszawskiej* (zeszyt styczniowy r. b.) napisał. Inaczej śpiewał ptaszek z dzwonnicy kościelnej, inaczej ten, który umiłował śmiecie domowe, a jeszcze inaczej geolog, który zapragnął być przygodnym znawcą rzeczy, leżących po za obrębem fachu. Taki jest los badań nad naszem wychodźctwem zamorskiem i osadnictwem: biorą się do nich nie ekonomiści i socyologowie, lecz beletryści, pedagogowie i — przyrodoznawcy. Co głowa, to inny obraz malowanych stosunków, co serce i wola, to inny śpiew. Podmiotowość, jak w wielu innych razach, tak i w tym, niewątpliwie odegrać musiała znaczną rolę; szczególny ustrój duchowy człowieka, badającego przedmiotowość z konieczności wyciska właściwe sobie piętno na wynikach badań. Tyczy się to zwłaszcza ptaszka z nad Nidy. Śpiew jego, słyszany niedawno przez czytelników *Kuryera warsz.* z tamtej strony Atlantyku, nabrzmiały był nutą iście dantejską, a kraj opiewany wyglądał, jak istne piekło, ci zaś, którzy udawali się po złotą dolę — jak prawdziwi skazańcy. Był to śpiew bolesny, jeremiaszowy, nasiąknięty tęsknotą za krajem, wstrętem człowieka gryzionego ustawicznie przez pchły brazylijskie i prażonego słońcem podzwrotnikowem, nasycony odrazą do woni i barwy lasów brazylijskich. Śpiew człowieka trapionego żółtą febrą i widmem strzechy domowej, zagonów zieleniejących pomarszczonym liściem kartofli, słoneczników i grochu — i powtarzającego sobie nieustannie: „u nas inaczej—inaczej.“ Tak śpiewając, był wiernym oddźwiękiem wędrownego stada przepiórek naszych, które, wzięte na wabia przez podstępnych agentów emigracyjnych, poleciały z ocean, żeby tam mrzeć i boleć. Przedmiotowo rzecz biorąc na pesymizm p. Dygasińskiego złożyły się przeważnie następujące warunki zewnętrzne: bezład rządu brazyljskiego, z którym wypadło mu mieć do czynienia nazajutrz po przewrocie, przejściowa faza naszego wychodźtwa, opłakany los emigrantów zaraz po przybiciu do brzegów „ziemi obiecanej“ i wreszcie sama żywiołość tego wychodźctwa, nieopanowanego jeszcze wówczas przed rząd. Nieobjętną także rolę w poglądzie p. D. na stosunki osadnicze w Brazylii grała ta okoliczność, że delegat *Kuryera* nie miał środków na dotarcie do dawniejszych siedzib kolonizacyjnych naszego chłopa w rzeczypospolitej brazylijskiej, które gdyby był poznał, zdanie swoje w tej mierze musiałby nieco odmienić.

Obraz tychże samych stosunków, odmalowany przez p. Siemiradzkiego, jest daleko weselszy. Ten ptaszek śpiewa nierównie różowiej. Co szczególniejsza, iż rząd brazylijski w przedstawieniu „naszego znanego geologa“ nie jest tak straszny, jak go maluje p. Dygasiński. Wygląda on tak anielsko, że sądząc z sideł i pokus, któremi usiłowali podobno jego przedstawiciele skruszyć p. D., ktoś złośliwy mógłby pomyśleć, że p. S. okazałby się mniej niezłomnym od swego poprzednika na głos uwodzeń. Ale— *honny soit, qui mal y pense!..* Pan Siemiradzki jest tylko zaradniejszym od pana Dygasińskiego, bo umiał uzyskać opiekę rządu i wybrał chwilę odpowiedniejszą dla badań i fazę osadnictwa wdzięczniejszą. Zjawił się do Brazylii wtedy, gdy jej stosunki administracyjne zakłócone przewrotem przyszły do równowagi, powtóre zaś zajął się nie samą falą wychodźczą, tj., nie losami jej biegu od chwili, gdy, po oderwaniu się od łona macierzystego, docierała brzegów brazylijskich, lecz tem, jak się w niem sadowi, jak jest zużytkowaną przez jej wabicieli. Zajął się więc poznaniem samej kolonizacyi — jej warunków.

„Zwiedziliśmy — powiada — wszystkie przytułki emigranckie pomiędzy Rio-Janeiro i Rio Grande do Sul położone, dotarliśmy do najdalszych kolonij, świeżo wśród puszczy dziewiczej założonych, a uzbrojeni w powagę urzędową, jakiej nam list polecający z generalnej inspekcyi „dos terres e colonisaçao“ udzielił, zajrzeliśmy tam, gdzie przedtem oko korespondenta sięgnąć nie mogło — do ksiąg i rachunków komisyi kolonizacyjnej; sądzę zatem, że nas o brak materyału do kompletnego obrazu dziejów wychodźców od chwili wstąpienia na ląd brazylijski, aż do osiedlenia na kolonii, posądzić nie można.“

Piękne ma p. S. przybory do badania. Jeżeli ich używa umiejętnie a sumiennie, to i wyniki jego poszukiwań mogą mieć znaczenie cennych, przedmiotowych wskazówek; jeżeli wszakże zapewnienia jego są czczą przechwałką lub reklamą, tem gorzej dla wiarogodności „znanego uczonego.“ W każdym razie, przyjąwszy pewny ułamek z jego informacyj na karb możliwej niedokładności w podrzędniejszych szczegółach lub dyletantyzmu niefachowca, resztę — streśćmy. To, co p. S. podaje, ważne jest już choćby z tego względu, że „w chwili obecnej znajduje się w trzech południowych prowincyach brazylijskich przeszło 70,000 polaków, osiadłych na koloniach, którzy się z losem swoim pogodzili, pracują ciężko i przy pracy mają szanse zdobycia sobie równie niezależnego bytu, jak wychodźcy polscy z Prus, Szląska i Galicyi, w okolicach Curitiby od blizko dwudziestu lat osiedli.“

(D. n.).

Z. A. P.

PAMIĘTNIK.

Zajazd.

A tout seigneur tout honneur. Więc gdy w napadzie i zbrojnej bitwie chorzenickiej popłynęło trochę krwi szlacheckiej, dzienniki warszawskie wysłały osobnych delegatów do Piotrkowa dla obszernych sprawozdań sądowych z procesu. Wyrok powierzono nawet drutowi telegraficznemu. Gdyby starły się i wymieniły między sobą kilka strzałów strony mniej dobrze urodzone, pozostawilibyśmy co najwyżej taką marną sprawę do opisu zwyczajnym korespondentom prowincyonalnym. Skoro tedy nabrała ona takiego rozgłosu, i my musimy zwrócić na nią uwagę. Dla czytelników, którzy nie znają samego wypadku z drobiazgowych przedstawień prasy codziennej, narysujemy go w ogólnym szkicu. P. St. Kobierzycki, właściciel folwarku Chorzenice, pożyczył różnymi czasy od swego wuja, mieszkającego w Poznańskiem, p. Wężyka, szereg sum, które mu zahypotekował na majątku. Gdy stosunki między kuzynami, z początku bardzo serdeczne, zaczęły pękać pod naciskiem pretensyj pieniężnych, a zwłaszcza gdy długi nabrzmiały niepomiernie, siostrzeniec wypuścił Chorzenice w poręczoną dzierżawę i postarał się o miejsce administratora w dobrach hr. A. Potockiego, wuj zaś, upatrując w tym obrocie chęć dłużnika wyśliznięcia mu się z rąk i zasłyszawszy, że on folwark pustoszy, wyjednał sobie w sądzie sekwestr na Chorzenice, gdzie osadził swego pełnomocnika Jabłońskiego. P. Kobierzycki, nieobecny wówczas, porozumiał się z przyjaciółmi i zaufanymi oficyalistami, a otrzymawszy od nich kilku wypróbowanych specyalistów od robienia „szopek“ przy sekwestrach, przyjechał z tą „artyleryą“ rano do dworu, zajętego już przez „niemców.“ Ponieważ owa „artylerya“ miała polecenie robić to, co pan każe, nie wiadomo zatem, jaki był pierwotny plan napadu. Według p. Kobierzyckiego chodziło o... zapłacenie akcyzy, według p. Wężyka o wyparcie zbrojne wierzycieli, według jego obrońcy o wyniesienie z łóżkami lub wypędzenie nieubranych na dziedziniec, ażeby ich ośmieszyć, odstawić do wójta półnagich i tym sposobem pozbyć się „prusaków.“ Może by ten zajazd zakończył się bijatyką i farsą, gdyby w rękach zapaśników nie znalazły się rewolwery. Zagroził tym argumentem naprzód p. Kobierzycki, użył go potem p. Jabłoński, wreszcie gdy obaj wyciągnęli się w zapasach na dziedzińcu, wyskoczył z dubeltówką p. Wężyk, strzelił dwukrotnie do Kobierzyckiego i zranił go kilkoma szrucinami. Oskarżony przez siostrzeńca o usiłowanie zabójstwa, stanął wraz w towarzyszem Jabłońskim przed sądem, który ukarał go rokiem i 4 miesiącami więzienia, nie podzieliwszy zdania obro-

ny, że jego klient działał w przekonaniu o koniecznej obronie cudzego życia.

Mamy w tym wypadku typowy objaw starej samowoli, która w dziejach naszych odradzała się ustawicznie smutnemi zdarzeniami i którą nazywano „zajazdem.“ Kto nie mógł pokonać przeciwnika prawem, pokonywał go gwałtem: zjeżdżał niespodziewanie na czele orszaku sług i popleczników, bił, wydzierał, porywał, czasem mordował, jeśli podniecona w walce zawziętość nie zdołała się powstrzymać. Tradycyjne nasienie nie wyrasta dziś bujnie w zmienionych a nieprzyjaznych dla niego warunkach, ale od czasu do czasu wystrzeli i przybierze postać skandalu. Ukazało się ono właśnie w Chorzenicach. Widzimy tu wszystkie rysy znamienne dawnego zajazdu, w którym rozstrzygają spór tylko namiętności. Dopóki siostrzeniec pożycza od wuja pieniądze, pieści go w listach najczulszymi wyrazami, mieni aniołem i dobroczyńcą i modli się na jego intencyę; gdy zaś ten sekwestruje mu majątek za długi, odrazu wuj zamienia się na „niemca“ i „prusaka,“ którego trzeba wygnać. W tem przedsięwzięciu obok głównego bohatera, jak niegdyś, występuje chór, który tu nosi nazwę „artyleryi,“ specyalistów od robienia „szopek.“ Nie brak również doskonale nam znanej z dawnych czasów bezświadomości działania. Świadek Bronikowski (adwokat) zeznaje: „Kobierzycki przysięgał mi, że nie będzie robił skandalów; mówił jednak, że *jak kto wyjdzie, to mu da w twarz.*“ Jakoż, spotkawszy naprzód lokaja „trzepnął go w gębę,“ jego panu przyłożył rewolwer do skroni i wyciągnął półnagiego na dziedziniec. To znaczy — nie robić skandalów! Z drugiej znowu strony p. Wężyk, widząc szamocących się, pali do siostrzeńca z dubeltówki dwukrotnie. Niech tu kto wynajdzie świadomość, jakie takie myślenie! Gdy przeciwnicy ochłonęli z szału, zapytani, czy chcieli się wzajemnie zamordować, z pewnością odpowiedzieliby: nie. I można im wierzyć. Jesteśmy przekonani, że ani Kobierzycki nie pragnął zabić Wężyka, ani Wężyk Kobierzyckiego, pomimo że pierwszy zaopatrzył się w rewolwer, a drugi strzelał do niego „jak do stodoły.“ To nie są ludzie chcący napełnić swe kieszenie bandyckim łupem, a swe krwiożercze instynkty mordem, ale potomkowie dawnych zajazdowiczów, którzy mieli dużo odwagi i animuszu, lecz ani odrobiny poczucia prawa, stanowiącego zasadniczy rys cywilizowanego człowieka. Przed kilkunastu laty byliśmy świadkami dziwnego widoku w pewnej wsi niemieckiej. Chłop przychodzi do sąsiada z prośbą o pożyczenie brony. Owszem — odpowiada sąsiad — weź, ale za to, że szedłeś przez zasiane zagony, wytoczę ci proces. Pierwszy wziął bronę, a drugi wniósł skargę do sądu. Nasz brat rozpocząłby od „trzepnięcia w gębę“ a skończył na karze za pobicie. Podróżników polskich stale to zadziwia, że widzą niemców, kłócących się całymi godzinami bez użycia pięści. Nie jest to tylko różnica w temperamentach, ale także w poczuciu prawa, który to zmysł mamy bardzo słabo rozwinięty. W naturze naszej pozostała tak zwana „bujność,“ tężyzna, która obywa się bez rozumu, wybucha w rzutach gwałtownych, instynktowych, nadewszystko zaś — i to jest w niej najgorsze — lubi grać rolę sprawiedliwości, będąc najzwyklejszą samowolą. Przysłowie zapewniło nam „mądrość po szkodzie,“ Niewątpliwie zatem p. Wężyk jest teraz mądry, a może jeszcze mądrzejszy od niego p. Kobierzycki. Bo chyba gdy zastanowi się, że niewiele brakło, ażeby był sam zginął lub kogoś zabił, że swego wuja, człowieka, którego wysławiał jako zbawcę i dobroczyńcę, zaprowadził do więzienia — żałuje zapewne wyprawy z żydowsko-chłopską „artyleryą,“ tej bitwy, z której wyniósł wcale niezaszczytne blizny. *O.*

Dobra rada.

Cieszyć się należy szczerze z każdego pomysłu, który podnosi wydajność gospodarstw rolnych lub przynajmniej zapewnia jakąś ulgę skłopotanemu ziemianinowi. Radość taką sprawił swym czytelnikom korespondent *Wieku* z powiatu Sokołowskiego. Wprawdzie podany przez niego sposób złagodzenia klęsk motylicy, grasującej śród owiec, nie jest nowy, ale — o ile nam wiadomo — po raz pierwszy podniesiony został publicznie do godności zasady. Ponieważ pomoc weterynarza „na nic się nie przydaje,“ jest droga a przepisane przez niego lekarstwa jeszcze droższe, więc szanowny obywatel radzi: „*Sumienniej* postąpi ten weterynarz, który właścicielowi faktyczny stan rzeczy wyjaśni, niż ten, który przepisuje tak drogie leki i zniechęca do sztuki weterynaryjnej zawiedzionych w swoich oczekiwaniach ziemian. Więc *lepiej* jest, gdy tylko owca *zacznie się chwiać, zarznąć ją*, a za mięso, jeszcze niezbyt wychudzone, i za skórę, po odrzuceniu wątroby, *można wziąć 2—3 rs.*“ Chociaż korespondent wygłasza swoje przekonanie ze stanowczością, której by mu pozazdrościł Pasteur, że „mięso jest od pasorzyta wolne“ i że motylice znajdują się tylko w „opuszkach żył watroby“ i w „tłuszczu pod skórą,“ zapytamy go, czy on sam, jego żona, dzieci i domownicy takie mięso jadają? Zapewne — nie. A więc dla kogo on je przeznacza? Dla ciemnych prostaczków, którzy wierzą w jego teoryę wątrobiano-motylicową i dla mieszczan, którzy nie wiedzą, że handlarz sprzedaje im baraninę z owiec, które już „chwiać się zaczęły“ i byłyby zdechły, gdyby ich nie zarznięto. To się nazywa w języku szanownego obywatela postępowaniem „sumienniejszem“ i „lepszem.“ Według naszego mniemania, lepiej i sumienniej byłoby owce dotknięte chorobą oddawać psom a nie ludziom, tych zaś hodowców, którzy ze świadomością puszczają z nich mięso w handel, pociągać do odpowiedzialności sądowej. Jeżeli zaś ono ma być sprzedawane, niech spożywcy o tem wiedzą, co kupują. Ziemianin z pow. sokołowskiego może cenić swoje i swej rodziny zdrowie wyżej, niż cudze — to mu wolno, ale niechże pozwoli innym mieć taki sam pogląd na własne. Rejent, burmistrz, telegrafista, poczhalter z miasta również nie chcą jeść mięsa z owiec motylicowych, pomimo zaręczenia szan. ziemianina, że szkodliwa jest w nich tylko wątroba; dlaczego więc on im podstępnie je wkręca? *M.*

Perpetuum mobile.

Cudowny ten przyrząd został stanowczo wynaleziony przez p. Witkiewicza. Dzięki jemu od lat już wielu kręci się w kolumnach prasy warszawskiej jedynie rozumna, jedynie słuszna i jedynie zbawcza teorya estetyczno-malarska. Niczego i nikogo ona dotąd nie nauczyła, ale się kręci. Po odpowiedziach p. Jankowskiego i Gersona na artykuły polemiczne p. Witkiewicza, teraz pomieszcza swoje odpowiedzi w *Kuryerze warszawskim* p. Witkiewicz, zapowiadając, że tego dobrego jeszcze nie koniec, że *perpetuum mobile* dalej poruszać się będzie. Ale bo też Herkules znalazł stajnię Augiaszową naszej krytyki dziwnie zanieczyszczoną. Posłuchajmy go:

„P. J. chce bądź co bądź ratować sytuacyę, probuje rezonować i dowodzić i kompromituje się jeszcze bardziej,

Tytuł: „kulinarnego estetyka,“ którym p. J. mnie obdarza, przyjmuję. Od tak dawna przyprawiam siekane potrawki z estetyków i krytyków, że on mi się należy. Nie używam jednak przytem ani *sauce soubise*, ani *tatare*, gdyż przyrządzam tych panów w *ich własnym sosie*, dodając od siebie jedynie zastawę stołową.

Dla mnie artykuł krytykowany był zawsze tylko preparatem, na którym demonstrowałem fałsze, będące w obiegu, nonsensa pisane rozmyślnie, lub naiwną nieświadomość, która dziwnym trafem staje się kierownikiem opinii publicznej.

Nikt bezstronniej i sumienniej nie bada najbardziej interesujących i ważnych dokumentów, jak ja to robię z rzeczą tak marną, jak rozbierane przeze mnie artykuły. A jeżeli tą marną rzeczą się zajmuję, to dlatego jedynie, iż oczyściwszy naszą krytykę z mgieł idealno-realnych, nie chcę, żeby na ich miejscu zagnieździły się fałsze i nieuctwa, spowite w inne kombinacye frazesów.

Dziś i dawniej zarzucałem krytykom, że nic nie rozumieją, ani sztuki, ani tego, co się o sztuce pisze.

Książek o sztuce staram się nie czytać wcale, gdyż albo są sprzeczne z tem, co sam wiem o niej (co za wspaniała nieomylność!) i wtedy mam odwagę uważać je za bezsensowne, albo też zgadzają się z moimi poglądami i wtedy wolę czytać moją własną książkę, która ma dla mnie przynajmniej urok wspomnień!“

Chyba dosyć!

W podobny sposób potraktowani są pp. Móyet, Gerson, Neusil, wszyscy, którzy śmieli wyrazić jakiekolwiek zdanie o sztuce, nieprzepisane z artykułów p. Witkiewicza, przyczem przedmiot sporu coraz bardziej zanika, ustępując miejsca szpilkom i kułakom osobistym. Ponieważ zaś p. Witkiewicz nie wymienił dotąd między naszymi literatami ani jednej duszy ludzkiej, którejby nie obarczały najstraszniejsze grzechy estetyczno-krytyczne i któraby miała skromną wartość biblijnego Lota, więc błagamy go, niech raz zniszczy ogniem siarczystym tę zdrożną i niepoprawną Sodomę, a nas uwolni od widoku jej nieprawości i swojego gniewu, który nie ma końca. Deszcz ten możnaby spuścić w jakiemś osobnem dziele estetycznem, które by nauczyło głupców, co to jest i gdzie się kryje rozum. Przerabianie zaś kwestyj naukowych na sprawy chorzenickie wznieca tylko kurz polemiczny, który zasypawszy przeciwnikom oczy, odlatuje z wiatrem.

K.

Wytrwali...

Subjekci handlowi, raz wystąpiwszy z inicyatywą święcenia niedzieli, usilują kuć żelazo, póki ono jeszcze zupełnie nie ostygło po ucichłej agitacyi na rzecz tej sprawy. Dlatego też zarząd ich Towarzystwa mądrze czyni, że ma zamiar na przyszłem ogólnem zebraniu członków „związku zawodowego,“ które się odbędzie w końcu marca r. b., wnieść projekt utworzenia z uczestników komitetu do ostatecznego załatwienia sprawy wypoczynku niedzielnego. Do komitetu mają być zaproszeni wybitniejsi kupcy i przemysłowcy m. Warszawy. Z czasem wrócimy jeszcze przy sposobności do tego przedmiotu, a teraz życzymy pp. subjektom dwóch rzeczy: żeby zamierzony komitet nie rozbił się o żaden szkopuł i, skoro powstanie, dotarł do celu pożądanego najzupełniej. Radzilibyśmy też, żeby w tem przedsięwzięciu wytrwali szermierze słusznych praw poszli po wskazówki, których im dostarczyć może zagranica, bardziej od nas dojrzała i doświadczona. *Kuryer warsz.* radzi, żeby do komitetu weszli tacy członkowie, którzy całkowicie solidaryzują się z zasadą wypoczynku niedzielnego i odznaczają się odwagą cywilną. Rada ta nie jest pozbawiona słuszności wobec faktu, że pomimo licznych oświadczeń pp. pryncypałów za święceniem niedzieli, mogą wszakże znaleźć się tacy, którzy, jeśliby nie umorzyli zupełnie, to z przyjemnością odwlekliby całą tę sprawę na czas nieokreślony.

Skurcze przemysłu.

Już dawniej *Warsz. Dniewnik* donosił o częściowych ograniczeniach robót w niektórych fabrykach, zakładach i kopalniach gub. piotrkowskiej. Te skurcze przemysłu wyrażały się zmniejszeniem liczby dni lub godzin pracy, przy odpowiedniem zmniejszeniu stopy zarobku. Obecnie stwierdza

ten organ, że to zjawisko, wywołane przez zastój, trwa dalej. Np. w fabryce worków jutowych, położonej we wsi Błeszno, w powiecie częstochowskim, dzień roboczy ma być zmniejszony o 3 godziny tygodniowo. W fabryce bawełnianej Ginsberga i Kohna w Częstochowie od d. 3 lutego roboty w fabryce nie miały się odbywać zupełnie w poniedziałki. W hucie cynkowej w Sosnowicach (własność sosnowickiego Tow. górniczo-przemysłowego) roboty były zupełnie przerwane od 17 do 22 stycznia i rozpoczęły się na nowo dopiero potem. „Wszystkie te, na pozór niewielkie ograniczenia — powiada *Warsz. Dniewn.* — odbijają się bardzo niepomyślnie na dobrobycie robotników.“

Skurcze przemysłu naszego, potęguje jeszcze specyalnie łódzka choroba — klęska chronicznych pożarów fabryk. Do długiego szeregu strawionych już przez ogień przybyła fabryka kamgarnów p. A. M. Wienera, która spłonęła d. 12 b. m. w nocy. Pomimo, że „w tym kierunku“ (!), jak mówi reporter *Kuryera warsz.* — wytężyły wszystkie swoje wysiłki połączone oddziały straży ogniowej ochotniczej i szciblerowskiej, pastwą płomieni padły *trzy czwarte* fabryki wraz z 92 maszynami tkackiemi i mnóstwem pomocniczych. W ocalonem skrzydle pozostało jeszcze trzydzieści kilka warsztatów, które skutkiem zniszczenia motorów puszczone będą w ruch dopiero za kilka tygodni. Fabryka ta zatrudniała 500 robotników, z których 150 pozostanie bez środków do życia aż do chwili jej odbudowania, reszta — do czasu naprawienia motoru w części, oszczędzonej przez pożar. Przedsiębiorca poniósł stratę 120,000 rs., a p. Zimmermann, właściciel gmachu — 25,000. Klęska nietylko samej firmy, ale i jej najemników jest tem większa, że p. W., przez oszczędność zapewne, ubezpieczył fabrykę na podstawie bardzo nizkiego szacunku i następnie — że miał dużo zamówień sezonowych. Godziłoby się więc, żeby lekkomyślny kierownik produkcyi, który tak mało dbał o bezpieczeństwo, a więc o rozmiary środków na rychłą odbudowę fabryki, skąd straszny żywioł wygnał na bruk tyle rąk roboczych, wynagrodził ofiary swej oszczędności chociażby cząstką zaoszczędzonych na asekuracyi pieniędzy. *P.*

Z Nieklania.

W majątku Nieklań istnieje od lat kilkunastu stowarzyszenie (p. n. „Składka braterska“), w którem uczestniczą wszyscy robotnicy zakładów fabrycznych i kopalń, tudzież urzędnicy administracyi. Kasa samopomocy ma na celu wspólne utrzymanie felczera, apteczki miejscowej i opłacanie wizyt lekarza. Uczestnicy płacą 3% od zarobków, urzędnicy — 4%. Instytucya ta, jak donosi *Wiek*, nie spełnia należycie swego zadania. O każdą jej usługę stowarzyszeni muszą długo kołatać i prosić, często zaś w chwili największej potrzeby — odchodzić z niczem. Niedawno zmarł pozostawiając w nędzy żonę i kilkoro drobnych dzieci wyrobnik Kujdowicz, któremu zarządzający kasą odmówił środków na pomoc lekarską na tej zasadzie, że uczestnik przestał opłacać składkę, nie mając zarobków w tym majątku.

Niewielkiem udogodnieniem jest również założony tam przed dwoma laty przez hr. Platera sklep spożywczy. Zarządzający (jak twierdzi korespondent) sprowadza towar lichy od kramarzy z mieścin sąsiednich po cenach wysokich. Chcąc osiągnąć zyski nakłada wygórowane ceny na towary, których dostać można o wiele taniej w miasteczkach okolicznych z wliczeniem nawet kosztów podróży. Tak też robią ludzie zamożniejsi. Robotnik zaś nie może tego uczynić, tembardziej, że go przykuwa do sklepu dług za produkty, z którego wybrnąć nigdy nie potrafi. Sklep nie robi złych interesów na wyzyskiwanych spożywcach, gdyż obrót jego wynosi 12,000 rs. rocznie.

„Objaw wtórny.“

Obywatele ziemscy w gub. płockiej wpadli na wielce znamienny pomysł. Ograniczają oni znacznie liczbę parobków, a natomiast część ziemi folwarcznej oddają w dzierżawę usuniętym ze służby. Ci zaś zamiast czynszu obowiązani są pewną liczbę dni odrabiać we dworze. „Z położenia swego — pisze *Ziarno* — zadowoleni są w stopniu najwyższym. Dwory literalnie opędzić się nie mogą licznym rzeszom kandydatów do wzięcia ziemi folwarcznej w dzierżawę na takich warunkach. Z drugiej strony nie mniej radują się z własnego wynalazku ziemianie, którzy obecnie nie wpadają w indyczy humor, przestawszy słyszeć tak często dawniej obijające się o uszy: Uprasam jelemoznygo pana o pensyję i ordynaryję.“ W naiwnej swej prostocie korespondent *Ziarna* również cieszy się z „objawu wtórnego“ pańszczyzny.

Tanie kuchnie.

Przyszłość jadłodajni robotniczej przy ulicy Czerniakowskiej jest bardzo niepewna z powodu niedoboru przeszło 2.000 rs. w budżecie rocznym. Według doniesienia *Gazety polskiej*, która zbadała na miejscu stan rzeczy, główną przyczyną niepowodzenia jest punkt niedogodny i wysokie komorne (800 rs. rocznie), podczas gdy lokal dla kuchni na Krakowskiem Przedmieściu kosztuje tylko 360, a na Podwalu 600). Są jeszcze inne, ważne powody: Obiad cały kosztuje 20 kop., robotnik zaś żonaty niewiele więcej wydaje na strawę w domu i spożywa z całą rodziną, przyczem w zimie, dzięki gotowaniu jedzenia, ogrzewa się mieszkanie. „Bezżenni robotnicy — twierdzi *Gazeta* — wolą jeść w garkuchniach, bo mogą tam dostać przy jedzeniu piwa i wódki, których nie ma w taniej kuchni. Co ważniejsze, właściciel takich jadłodajni częstokroć łączy charakter gastronomiczny z finansowym, to dając jedzenie na kredyt, to pożyczając robotnikom nawet trochę pieniędzy.“ Zwykle w dni świąteczne tania kuchnia przy ulicy Czerniakowskiej ma gości znacznie mniej, niż w powszednie, skutkiem czego dochód brutto w pierwszych wynosi rs. 4, w drugich najwyżej około 15. Z tej ostatniej kwoty zysk na zakupionym materyale spożywczym daje zaledwie 2 rs. z kopiejkami, co nie wystarcza nawet na pokrycie kosztów lokalu. Dwie inne tanie jadłodajnie dają zyski wcale niezłe: przy Krakowskiem Przedmieściu przeszło rs. 500 rocznie, na Podwalu — przeszło 1,000 rs. Wpływa tu dodatnio w znacznej mierze względna taniość lokalów i poniekąd — punkty dogodne.

Towarzystwo subjektów łódzkich.

Na odbytem niedawno zgromadzeniu 113 członków rzeczywistych Stowarzyszenia wzajemnej pomocy subjektów handlowych m. Łodzi zrobiono przegląd ogólny stanu majątkowego i poruszono kilka ważnych projektów. Między innemi ktoś zaproponował wyznaczanie co rok na bibliotekę większej niż dotychczas sumy, tj. rs. 500. Wniosek ten pozostawiono do uznania zarządu, czyli — pogrzebano go. Również pozostawiono uznaniu kierowników projekt przekształcenia wydziału biura informacyjnego i powiększenia funduszów na jego utrzymanie. Wydział powyższy w ciągu 8-o miesięcznej działalności umieścił na posadach 18-tu członków z ogólnej liczby 138 poszukujących pracy i „dowiedział się“ o 75 wakansach. Stowarzyszenie liczy 492 członków, 211 członków-protektorów, lekarzy i prawników, ogółem 703. Ogólna suma przychodu czyniła 3,550 rs. (kopiejki pominięte), w czem wpisowego od stowarzyszonych 715 rs., wpłosków członków rzeczywistych 2,811, od protektorów 1,465 rs. Po odliczeniu 25% na kapitał zakładowy (1081 rs.) ogólne opłaty członków uczyniły 3,244 rs.; wydatki stowarzyszenia wynosiły 3,209 rs. Kapitał zakładowy wynosi 7,531 rs., oddzielnie wydziału kasy wdów i sierot — 1,754. W tej ostatniej sumie mieści się legat współpracowników firmy M. Silbersteina 500 rs. Oprócz tego wpłynęło w r. z. do kasy 931 rs. ze składek na wieczorkach muzycznych dla członków i ich rodzin, oraz 465 rs. z przedstawienia teatralnego. Zaległości w składkach stowarzyszonych wynoszą 1,231 rs., czyli przewyższają przeszło o 600 rs. takiż niedobór z r. 1890. Rezultat taki przypisują ciężkim warunkom utrzymania w r. b.

Przytułek położniczy w Łodzi.

W tych dniach otwarto w Łodzi przytułek położniczy, dzięki inicyatywie d-ra J. Wislockiego. Kapitał zakładowy w sumie rs. 14,000 powstał z ofiarności kilkunastu osób zamożnych. Z procentu od tego funduszu zakład czerpać będzie zasiłek. Kierownictwo administracyjne objął specyalny komitet, złożony z plutokracyi miejscowej (kobiet i mężczyzn). Lekarzem ordynatorem mianowano d-ra Wisłockiego. W działalności swojej nowa instytucya kierować się będzie własną instrukcyą, opracowaną i przez wyższą władzę zatwierdzoną w r. z. Zakład zajmuje dość wygodne pomieszczenie, złożone z czterech pokoi, przedpokoju i kuchni, służącej razem za łazienkę. Całe urządzenie jest schludne z uwzględnieniem wszelkich wygód i potrzeb hygieny. Brak tylko, jak zaznacza *Dziennik łódzki*, wentylacyi, co przy nizkich sufitach może ujemnie oddziaływać na zdrowie położnic.

Stowarzyszenie spożywcze.

Rokujące wielkie nadzieje i otrąbione w prasie Stowarzyszenie spożywcze urzędników kolei Nadwiślańskiej chyli się ku upadkowi. Obrót sklepu za rok 1889 przewyższył rs. 40,000, w następnym spadł do rs. 26,030, w ubiegłym zaś osiągnął zaledwie 22,000. Czysty zysk zniżył się (w r. 1889) z rs. 3,300 do rs. 1,859, w r. następnym, wreszcie do rs. 640 w roku ubiegłym. Zarząd proponuje wypłacenie za ten ostatni 6% dywidendy od wkładów, a 1 ½% od zakupionych towarów. (Dawniej wypłacano od wkładów 10%, od zakupów 4%). Liczba członków zmniejszyła się w roku ubiegłym, znaczną zaś część wkładów wycofano. Zwykła kolej wszelkich stowarzyszeń naszych!

SPRAWY EKONOMICZNE.

EKONOMICZNY SEDAN I SADOWA.

Potęga polityczna jest dla kraju jednocześnie warunkiem nieodzownym rozkwitu ekonomicznego. Dzisiaj, w chwili wzajemnego odgradzania się taryfowego i zaciętej walki konkurencyjnej pomiędzy oddzielnemi państwami, tylko to mocarstwo może liczyć na otwarcie swoim wyrobom obcokrajowych rynków zbytu, które posiada odpowiednią przewagę i na polu politycznem. Przeczuwał to wybornie swojego czasu mieszczanin niemiecki, okrzykując uwielbieniem chwałę rzeczi wojennych 1866 i 1870—1871. Militaryzm, który naówczas doczekał się pomazania nawet ze strony mężów nauki, jako konieczność w niczem nieprzełamanej i nigdy nieustającej walce o byt i który stanowi właśnie podstawę wpływów politycznych monarchii niemieckiej, jest też gruntem, na którym wyrosła dzisiejsza zmiana wzajemnego znaczenia ekonomicznego pojedynczych krajów Europy. Zmiana zaś ta jest w najwyższym stopniu doniosła, a przytem tak złożona i nadto zgoła jeszcze nie ukończona, że w obecnej chwili niepodobna zdać z niej sobie należytej sprawy. Sprobujemy jednak przelać na nią niejakie światło, gdyż chociaż szczegóły układu międzynarodowych stosunków ekonomicznych nie występują jeszcze w całej pełni, przecież ogólne zarysy zostały już jaskrawo uwydatnione. Data 1 lutego, w której upłynął termin ostatnich 6 umów taryfowych Francyi z innemi państwami, a jednocześnie wcielony został w życie związek handlowo-celny Europy środkowej, jest takim zwrotnym punktem w przekształcaniu się położenia ekonomicznego krajów europejskich. Rozumie się, ta data jest najzupełniej przypadkową. Jeżeli międzynarodowa polityka ekonomiczna doznała na całej swojej przestrzeni w Europie takiego wstrząśnienia w dniu jednym, to sam przełom jest tylko zakończeniem dłuższej ewolucyi, ostatniem ogniwem całego szeregu zmian i przesunięć się punktu ciężkości.

Zwróćmy się myślą w przeszłość, w epokę, poprzedzającą wybuch wojny francusko-niemieckiej, a jeszcze lepiej w przeddzień pokonania Austryi. Francya była podówczas na lądzie Europy pierwszorzędną potęgą ekonomiczną, Prusy zaś — krajem, w którym przemysł dopiero przestał stawiać pierwsze kroki; rozwój w tym kierunku państwa Habsburskiego stał jeszcze na niższym poziomie. Za pomocą całego szeregu traktatów i traktacików handlowych, na których czele należy postawić przedewszystkiem zawarte r. 1860 przymierze z Anglią, Francya otworzyła rynki swoje wyrobom obcokrajowym, lecz sama zyskała na tem daleko więcej, otrzymując

dostęp wolny do różnych zakątków. Ostatnie nici tej sieci traktatowej prysły dopiero przed kilku tygodniami. Zerwanie ich, przyspieszono nietaktycznością mieszczanina francuskiego, jest następstwem przyczyn, oddawna działających. Przedewszystkiem przemysł fabryczny rozwija się w każdym pojedynczym kraju, a wraz z nim budzi się zadanie „patryotyczne" — wyrugowania cudzoziemców z rynków swojskich, a następnie ciążenie w kierunku coraz silniejszego protekcyonizmu. Możemy to zbadać na stosunku Włoch do Francyi. Zjednoczenie różnych dzielnic włoskich jest na półwyspie Apenińskim jednocześnie wstępem do gorączkowego rozwoju umysłowego i przemysłowego. Wprawdzie początkowo, w nagrodę za pomoc polityczną, Francya zagarnęła, na mocy traktatów, przemożne panowanie na rynku włoskim i dzieje przemysłu włoskiego są jedynie powolnem wyzwalaniem się z pod tego „jarzma." Industrya miejscowa, w miarę jak wzrasta w siłę, niechętnie spostrzega tego wyszkolonego w technice współzawodnika, tem bardziej, że spotyka go nadto na różnych rynkach w Tunisie, Tripolisie itd. Jest to źródło, z którego wolno wypłynęła tak zacięta dzisiaj nienawiść „inteligencyi" włoskiej względem Francyi. Ludzie, nielubiący spoglądać głębiej w jądro rzeczy, dziwią się, że tak lekkomyślnie stargano „harmonię ekonomiczną" pomiędzy Włochami a Francyą. Istotnie, przyjrzyjmy się cyfrom. W ciągu lat 1885—87 szło rocznie z Włoch do Francyi towarów za 496 mil. franków, co stanowiło połowę całego wywozu włoskiego za granicę; dodajmy, że do Niemiec Włochy wywoziły blizko cztery razy mniej, bo tylko za 138 mil. Z drugiej strony Francya wysyłała do Włoch wyrobów swoich za 373 mil., a tymczasem do Niemiec jedynie za 110. Słowem, interes ekonomiczny Włoch, zdawałoby się, przykuwał je do swojej krewniaczki romańskiej i nakazywał trzymać się oburącz przymierza z nią. Lecz pod tą „harmonią," która przegląda z cyfr przytoczonych, ukrywa się bardzo silny rozdźwięk. Tkwi on w tem, że Włochy wywoziły do Francyi wino, jedwab surowy i inne płody rolne, co było z korzyścią dla ziemianina, zwłaszcza południowego, a tymczasem z Francyi nadchodziły transporty wyrobów fabrycznych, zabijające rodzący się przemysł fabryczny! Ponieważ mieszczaństwo przemysłowe i spekulacyjne wraz z „inteligencyą," wychowaną w jego pojęciach, wodzi rej w życiu politycznem Włoch, na ołtarzu dobrobytu jego poświęcono interesy południowego chłopstwa, stworzono w kraju za fundusze gadzinowe i klasowe osobną klakę antifrancuską, wypowiedziano sąsiadce wojnę celną i wreszcie rzucono się w objęcia trójprzymierza, które w ten sposób jest ze strony Włoch jedynie wyrażeniem w polityce zewnętrznej antagonizmu pomiędzy wielkim przemysłem francuskim a włoskim. To odgrodzenie Włoch nietylko od Francyi, lecz od reszty krajów nastało przed laty 3—4. W Niemczech ukazało się ono daleko wcześniej. Inne państwa, z tych lub innych powodów, musiały się liczyć z warunkami zewnętrznymi, Niemcy zaś dzięki swojej potędze politycznej nie oglądały się na żadne względy. To też nigdzie protekcyonizm tak nie wybujał. W ciągu ostatnich dwóch dziesiątków lat w ten sposób Francya i Niemcy stały na przeciwległych biegunach polityki ekonomicznej. Pierwsza była ogniskiem zośrodkowania najrozmaitszych traktatów handlowych, ostatnie zaś najskrajniejszym wyrazem odosobnienia. Inne kraje Europy — odsuwamy od rachunku Anglię i Rosyę — zajmowały jednocześnie i stanowisko protekcyjne i traktatowe. Względem Francyi przyjmowały one zwykle oblicze uśmiechnięte — związku handlowego, w odniesieniu do Niemiec opasywały się murem taryfowym.

Położenie to ulegało powolnej zmianie, w miarę rozwoju przemysłów pojedynczokrajowych. Protekcyonizm zwolna zyskiwał przeważającą rolę, a sieć traktatów, łączących Francyę z innymi krajami, ulegała starganiu. W samej Francyi hasła polityki ochronno - celnej znajdowały coraz trwalszy grunt i groziły zerwaniem umów. Zdawało się wszakże, iż zrywanie to odbywać się będzie powolnie, a zarazem, że Niemcy pozostaną wierne swojemu protekcyonizmowi. Widok przyszły Europy przedstawiał się jako zbiór niezależnych i wzajemnie ogrodzonych taryfami mocarstw, wśród których dwa zajmowały pierwszorzędne i niemal równe stanowisko: Francya i Niemcy.

Rzeczywistość zadała kłam tym oczekiwaniom. Z jednej strony protekcyonizm zwyciężył we Francyi z najgorszymi skutkami dla jej przyszłości i znaczenia politycznego, z drugiej Niemcy wykonały zręczny manewr, donioślejszy pod wielu względami, aniżeli bitwa pod Sedanem. Jest to związanie się na dłuższy przeciąg czasu z różnemi mocarstwami środkowej Europy przymierzem handlowem. Dojście do skutku tego sojuszu ogłoszono już za świtanie ery wolo-handlowej. Nie widzimy w nim nic podobnego natomiast spostrzegamy jeden krok naprzód w rozwoju przewagi Hohenzollernsko-niemieckiej w Europie. Przyjrzyjmy się bliżej warunkom umowy. Przedewszystkiem Włochy, mimo że weszły w skład przymierza, nic a nic nie poświęciły ze swojego protekcyonizmu. Zbadawszy kolejno różne rubryki, zobaczymy, że z wyjątkiem lamp i farb anilinowych, ustępstwa włoskie są albo małoważne albo też żadne. Z goryczą niektóre pisma niemieckie swego czasu donosiły: „w traktacie handlowym udzielone ze strony włoskiej ulgi są natury wprost znikomej w porównaniu z korzyściami, jakie Włochy otrzymały od Niemiec... Rzadko się zdarza, aby państwo silne i zamożne zachowywało się tak skromnie i zadawalało się czemś tak małem, jak to widzimy w umowie. W tych warunkach wywóz niemiecki do Włoch nie podniesie się w żaden sposób, tymczasem włoski do Niemiec wzrośnie niepomiernie." Rzeczywiście, szło tutaj przedewszystkiem o cele polityczne. Ów patryotyzm, tak srożący się przeciwko Francyi, a wyciągający dłoń do Niemiec i Austryi, dojrzał w sercu kapitalisty włoskiego jako wynik jego gorączki konkurencyjnej. Żądać odeń ustępstw i rynek jego zasypywać wyrobami niemieckimi — znaczyłoby wystawiać na ciężką próbę jego sympatye trójprzymierzowe. Raczej zależało mocarstwom środkowo-europejskim bardzo wiele na tem, aby przeciwnie wzmocnić je we Włoszech. Otóż w kraju tym ze swoją niechęcią względem trójprzymierza nie tają się warstwy, których dobrobyt silnie podkopano skutkiem zerwania pokoju handlowego z Francyą. Szło zatem o pojednanie tych *intrasigeantów* politycznych. Umowa celna przynosi im w ofierze interesy fiskalne niemieckie aż do 25% dawnej wysokości, zniżając najrozmaitsze rubryki, mianowicie opłaty za owoce południowe, wino, surowce itd., niekiedy ze znaczną stratą dla niektórych gałęzi produkcyi, zwłaszcza przedlitawskiego. W parlamencie austryackim, gdzie podczas obrad nad umowami starcie się najrozmaitszych namiętności doszło do wysokiego napięcia i gdzie nie przebierano w wyrazach, traktat z Włochami nazwano wprost łapówkę polityczną. Istotnie, tak jest, dbano bowiem w tym razie nie o zyskanie tam rynku, ale o otwarcie zbytu dla produktów włoskich w Niemczech, aby zjednać tą drogą opozycyę antytrójprzymierzową. Podobny nieco charakter nosi też umowa ze Szwajcaryą. Damy głos jednej z licznych petycyj, wysłanych z tego powodu przez przemysłowców niemieckich do sejmu związkowego: „Zachowaliśmy się spokojnie wobec umowy z Austryą i Włochami, gdyż mogliśmy w niej widzieć ofiarę na ołtarzu dobra ojczyzny; lecz co do Szwajcaryi, względy polityczne nie powinny przeważać w tak znacznym stopniu, żeby aż taką przynieść szkodę naszemu przemysłowi przez zawarcie podobnego układu handlowego." Trudno nam wymieniać szczegółowo warunki traktatu szwajcarsko-niemieckiego, nadmienimy tylko, że wyjaśnić go można znowu jako łapówkę polityczną daną Szwajcaryi. Natomiast Niemcy, zrobiwszy to ustępstwo, wynagradzają je sobie sowicie na monarchii Habsburskiej. Sprawdza się tutaj przysłowie, że na głowie biedaka kołki cioszą. Skołatana finansowo, rozpadająca się na wrogie grupy plemienne, Austrya wymaga, aby ktoś silniejszy stał na straży i poręczał jej całość swoją potęgą. Za korzyści nader wątpliwe i niezagwarantowane jakie niby uzyskała od Niemiec co do rynków zbożowych, oddała rynki swojego przemysłu na pastwę producentom niemieckim, co więcej, udostępniła im rywalizacyę ze swoimi przemysłowcami w Serbii, Bułgaryi itd. A tymczasem wewnętrzne położenie Niemiec, dzięki wzrostowi opozycyi przeciwko cłom zbożowym, było tak przykre, że możnaby je było wyzyskać zgoła inaczej, niż to zrobiła rzesza rakuska. Nie dość tego. Nietylko Austrya złożyła haracz ekonomiczny swojemu obrońcy niemieckiemu, lecz również przyjęła warunki, które traktat z Włochami i Szwajcaryą przeinaczają na łapówkę polityczną, W ten sposób widzimy, jak osnową spółki środkowo-europejskiej są względy polityczne, jak tutaj najsłabsza potęga polityczna, Austrya, pada ofiarą swojej niemocy, jak Niemcy odnoszą korzyści ze swojej przewagi. Dzień 1 lutego jest dla Niemiec Sadową ekonomiczną. To zjednoczenie handlowe jest dzisiaj ogniskiem, do którego skupiają się inne; Holandya np., państwa naddunajskie i t. d. przechylają się w tym kierunku, a Niemcy są słońcem środkowem, ku któremu wszyscy się uśmiechają ze względów politycznych, a które za to wszędzie wymaga otworzenia rynków. Dojście powyższego przymierza do skutku jest jednocześnie przegraną polityczną i ekonomiczną Francyi. Sobkostwo mieszczaństwa francuskiego ją przyśpieszyło. Lafargue kiedyś nie wahał się dowodzić, że przemysłowcy francuscy radośnie przyjęli wiadomość, że zwycięzca z za Renu zażądał Alzacyi. W tym razie burżua rdzenno-francuski choć jeszcze miał na widoku własne interesy — usunięcie współzawodników alzackich. Lecz dzisiaj i tem się nie odznacza, po za korzyścią chwilową nie spostrzega straty jutrzejszej. Widzieliśmy, iż potęga polityczna jest piastunką panowania ekonomicznego. Tymczasem we Francyi przemysłowiec w obronie dzisiejszego swojego interesu wprowadził w życie protekcyonizm, zrywając stanowczo szczątki istniejącej jeszcze sieci traktowej. Postępek ten odbił się nader dotkliwie na różnych sąsiadach. Posiadamy pod ręką np. ubolewania z tego powodu szwajcarów. Biorąc pod uwagę nawet minimalną taryfę, wywóz szwajcarski do Francyi został zatamowany, a wynosi on czwartą część całego wywozu rzeczypospolitej szwajcarskiej. Naturalnie, niechęć tego kraiku wzmaga się, tem silniej, że traktat z Niemcami w całej pełni potęguje przeciwieństwo. Francya zostaje więc odosobniona i tem samem osłabioną politycznie, a niemoc ta odbić się musi na dobrobycie samej burżuazyi. Zadała ona sobie protekcyonizmem cios najdotkliwszy. Wprawdzie na wieść o umowie środkowo-europejskiej, pospieszyła z udzieleniem opłat minimalnych kilku krajom. Zawarto ściślejszą, chociaż mało wartą, umowę ze Szwecyą, i tymczasowe z Belgią, Holandyą, Grecyą i Szwajcaryą, wogóle z drobniejszemi państewkami bez znaczenia politycznego, które nie wynagrodzą strat poniesionych a z których ostatnia została i tak poszkodowana. Leroy - Beaulieu w *Ekonomiście* marzy

o przymierzu handlowem z Rosyą, lecz trudno się tego spodziewać, gdyż Rosya nic na tem nie zyskuje i zgoła nie zechce być jedynie kopalnią zysków dla burżua francuskiego.

Dzień 1 lutego mocno naruszył mnóstwo interesów. Francuskie pociągi towarowe, idące od granic Hiszpanii codziennie, w dniu tym po raz pierwszy nie zostały naładowane, a zarząd kolei uznał za właściwe, aby pozostały na miejscu. Gdzieindziej, mianowicie na liniach niemiecko-austryackich, okazała się potrzeba powiększenia taboru. To jedno już mówi o doznanem wstrząśnieniu i które sprowadzi odpowiednie zmiany w rozmieszczeniu samych ognisk produkcyi. W całej postaci mamy tu do czynienia jednocześnie i z Sedanem i z Sadową ekonomicznemi. Są one następstwem potęgi politycznej Niemiec.

K. R. Ż.

PRZEMYSŁ I HANDEL.

Zwrot cła. W dniu 11 b. m. odbyło się w warszawskim komitecie giełdowym posiedzenie z udziałem przedstawiciela ministeryum skarbu, rz. r. st. Zabugina, w sprawie zwrotu cła od bawełny przy wywozie tkanin za granicę. Ministeryum stosownie do prośby fabrykantów zgodziło się na warunki następujące: od przędzy tudzież towarów surowych i bielonych 1 rs. 30 kop., od towarów drukowanych 1 rs. 50 kop., od farbowanych na kolor „adryanopolski“ 1 rs. 85 kop. od puda w złocie. Wydawane przez urzędników celnych we właściwych okręgach fabrycznych świadectwa o pochodzeniu towaru, a następnie poświadczane przez komory celne, będą przez nie na równi z gotówką złotem przyjmowane przy poborze cła od sprowadzonej z zagranicy bawełny surowej. Koszty utrzymania urzędników celnych obciążą fabryki, korzystające z projektowanej ulgi. Dla zapobieżenia przemycaniu do kraju napowrót wyrobów z bawełny, od której cło było zwrócone, fabrykanci obowiązani będą zaopatrywać sztuki na wywóz przeznaczone w markę fabryczną na obu końcach; przedmioty bez takich znaków w pasie pogranicznym uważane będą za towar przemycany. Taki w ogólnych zarysach projekt przedstawił p. Zabugin komitetowi giełdowemu w Warszawie, zaznaczywszy, że fabrykanci okręgu moskiewskiego uznali go za zupełnie odpowiadający zadaniu. Przedstawiciel fabryki w Zawierciu, hr. Rzyszczewski, zwrócił uwagę, że siedliskiem urzędników celnych dla wydawania świadectw i plombowania towaru powinna być Łódź, jako ognisko przemysłu bawełnianego. W rezultacie fabrykanci wyrobów bawełnianych w Królestwie Polskiem przyjęli projekt chętnie.

Przemysł fabryczny. Według sprawozdania sekcyi statystycznej magistratu w r. z. było czynnych w Warszawie 368 fabryk i zakładów przemysłowych, które zatrudniały ogółem 16,800 robotników; wartość produkcyi wynosiła rs. 26,798,308. W porównaniu z rokiem poprzednim liczba zakładów zwiększyła się o 22, liczba robotników zmniejszyła się o 390, produkcya — o 2,072,435 rs. Pierwsze miejsce zajmuje wyrób maszyn (9,964,693 rs.), drugie — wyrób artykułów, opłacających podatek akcyzowy (w r. z. po potrąceniu akcyzy 4,814,714, w roku poprzednim 4,866,834 rs.). Dalej przemysł oparty na przetwarzaniu materyałów zwierzęcych (rs. 4,344,921 rs.), przemysł spożywczy (2,174,420), wyroby chemiczne (1,034,575), z drzewa (885,480). W ciągu roku ubiegłego zamknięto 23 fabryki, które zatrudniały 609 robotników.

— Wobec nowego regulaminu, ograniczającego pracę kobiet w fabrykach, właściciel wielkich przędzalni w Sosnowcu, p. H. Dietel, zamierza zmienić zupełnie w swych zakładach tego rodzaju siłę roboczą. Na początek wkrótce, jak donosi *Tydzień* piotrkowski, usuniętych będzie 200 kobiet.

Z rynku.

Ceny bieżące na prowincyi. Siedlce, 6 lutego. Zboże „stoi w normie“ (co pod tem rozumieć?), gorączka ogarnia tylko wytwórców i kupców koniczyny, której wielkie zapotrzebowanie za granicę wywołało zaciętą walkę współzawodniczą śród rolników i nabywców krajowych. Łubin nie ma wcale zbytu, pomimo bardzo niskiej ceny (11 rs. 50 k. za korzec niebieskiego). To zmusi rolników zużytkować zapasy tego produktu na polepszenie gruntu. Wielce poszukiwaną jest obecnie przez ludność ubogą kasza kukurydziana, której funt kosztuje tylko $3^1/_2$ kop. Funt mięsa wołowego kop. 10, cielęciny $7^1/_2$, jajko 2, funt masła 45—55, kwarta śmietany — 28.

— Kalisz, 10 lutego. Żyto (korzec) 7,70, pszenica 8,30, jęczmień 6,30, groch polny 9,50. Chleb pytlowy (funt) $4^3/_4$ k., bułki —6, wołowina 9—10, wieprzowina 11—12, cielęcina 7—8.

— Płock, 7 lutego. Ceny wytworów stoją prawie na tym samym poziomie. Na targ ostatni przywieziono: pszenicy około 355 korcy, żyta 200, grochu 50, jęczmienia 60, gryki 25, owsa 100, kartofli 80; a sprzedawano: korzec żyta 6,75—7 rs., pszenicy 7—7,35, grochu 7,30, jęczmienia 4,50—5, gryki 5,60—6, kartofli 2—2,10, owsa 3—3,15. Koniczyna bez dowozu: czerwona 35—45 rs., biała 40—55 za korzec, odpowiednio do dobroci.

W miastach powiatowych, słynnych z taniości, ceny na wytwory rolne i spożywcze nie są wcale niższe od płockich. Np. w Ciechanowie korzec pszenicy 7,50—8 rs., żyta 7, owsa 3, jęczmienia 4,50, kartofli 2,25 itd. Masła funt 29—35 k., wołowiny 9, cielęciny 5; funt chleba razowego $3^1/_2$ k., pytlowego $4^1/_2$, pszennego 6, gdy w Płocku względnie: 3, $4^1/_4$ i $4^3/_4$. Opał, pomimo obfitości lasów w okolicy, jest bardzo drogi: sążeń drzewa brzozowego rs. 12, sosnowego 10, korzec węgla 1,20. W Mławie: pszenicy korzec rs. 8, żyta 7, grochu 8, jęczmienia 4,50, kartofli 2,30, brukwi, marchwi i buraków rs. 1. Kwarta mąki pszennej $7^1/_2$ k., żytniej 6, kaszy perłowej 10, krakowskiej 15, orkiszowej 15, jęczmiennej 12, jaglanej 5. Funt chleba: żytniego 5 k., pszennego 6, razowego 4. Opał: sążeń sośniny 8 rs., brzeziny 10, węgla korzec 90 k.

A teraz rzućmy okiem na ludne centry przemysłowe:

— Częstochowa, 3 lutego. Kartofle od rs. 2,40—2,70 korzec, kwarta masła od 70 — 75 kop. Jaja staniały: kopa rs. 1,20. Niektórzy piekarze wypiekają chleb razowy z mieszaniny (mąki żytniej i pszennej) po 4 k. za funt. Za to pasza staniała: za centnar siana żądano 60 k., gdy przed tygodniem płacono 75. Z powodu obfitości paszy bydło tanieje ciągle, ale skutkiem drożyzny kartofli wieprzów karmnych prawie niema wcale. To samo dzieje się w osadach okolicznych: Mstowie, Kłobucku i Przyrowie.

— Tomaszów, 5 lutego. Na ostatnim targu płacono: za funt chleba 5 kop., za korzec żyta 7,50, pszenicy 9,30, grochu 7,50, owsa 3,30, jęczmienia 6,00, kartofli 3,00, koniczyny centnar 1,20, siana 80 k., kwartę masła 60 k., sztukę jaja $2^1/_2$.

— Włocławek, 10 lutego. Ustalona komunikacya pomiędzy brzegami ściętej lodem Wisły wpłynęła na zniżkę cen, zwłaszcza produktów spożywczych, dostarczanych przez kolonistów niemców z lipnowskiego. Lody pękły i spłynęły do morza — ceny podskoczyły w górę i trzymają się dziś na następującym poziomie: Korzec żyta 7,60, pszenicy 8,00, grochu 8,00, jęczmienia 5,90, kaszy jęczmiennaj 8,00, gryczanej 9,00, krakowskiej 18,00, jaglanej 8,00, pud mąki pszennej 2,25, żytniej pytlowej 2,00, pszennej pośledniej 1,800, kartofli 2,70.

Ceny bieżące w Warszawie, 17 lutego. Zapasy produktów spożywczych w składach tranzytowych na Pradze wynosiły 785 wagonów. Na placu Witkowskiego wystawiono na sprzedaż: pszenicy korców 500, żyta—70, owsa — 50. Ceny zboża wynosiły: pud żyta do 1,34. jęczmienia do 1,10, owsa do 98, kaszy jaglanej do 1,47, Cukier 2,25 za pud rafinady i kostkowego, 2,70 mączki.

— Gdańsk, 8. lutego. Obroty ruską mączką cukrową krystaliczną były w dalszym ciągu bardzo ograniczone: notowano do 15 rs. (45 m.) *franco porto*, w tranzycie za gotówkę. Sprzedano około 2,000 centn.

Rynek pieniężny. Berlin, 17 lutego. Ruble w gotówce w stosunku 200,50 za 100 rs., na dostawę — 200,25 za 100 rs.

S-z.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

Warsz. Dniewnik pisze: „W porównaniu z latami poprzedniemi urodzaj zboża zeszłoroczny w Królestwie niedostateczny, a nadto nieurodzaj kartofli, stanowiących główny przedmiot pożywienia ludu, wreszcie w związku z tem nieurodzaj w wielu guberniach Cesarstwa, wpłynęły znacznie na podwyżkę cen w ubiegłej jesieni wszystkich produktów rolnych i wywołały obawę, że ludność niezamożna kraju tutejszego, a w szczególności małorolni i bezrolni włościanie mogą napotkać trudności w wyżywieniu siebie, aż do czasu nowego urodzaju w r. 1892.

Ażeby ulżyć o ile można doli tej mianowicie części ludności kraju przez dostarczenie jej zarobków w miejscu zamieszkania lub w pobliżu, JW. Generał-Gubernator warszawski poczynił starania, iżby zezwolone zostało uskutecznianie wszystkich robót, przypadających w roku bieżącym około budowy i naprawy traktów gubernialnych w guberniach Królestwa, sposobem gospodarczym, pod kierownictwem i dozorem władz miejscowych, na rachunek funduszów gruntowego podatku drogowego.

Niniejsza propozycya, przedstawiona przez komitet ministrów, otrzymała w d. 15 stycznia Najwyższą sankcyę.

Na mocy takiego rozkazu Najwyższego poczynione zostały przez Głównego Naczelnika kraju rozporządzenia co do przeprowadzenia w roku 1892 wszelkich robót pomienionych w guberniach kraju tutejszego sposobem gospodarczym (o ile już nie zostały zawarte kontrakty na te roboty z przedsiębiorcami). Roboty mają być wykonane, o ile można, podczas wczesnej wiosny, tj. w tej porze roku, kiedy miejscowa ludność uboga, przeważnie zaś małorolni i bezrolni włościanie najbardziej potrzebują zarobków.

Wyjątek z tej ogólnej zasady uczyniono tylko co do gubernii lubelskiej, suwalskiej i siedleckiej, w których pozwolono wykonywać roboty drogowe przez przedsiębiorców, ze względu na to, iż ludność rzeczonych gubernij zabezpieczona jest co do zarobków przy innych robotach rządowych, a nadto w gubernii suwalskiej — przy spławie towarów Niemnem i kanałem Augustowskim.“

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Jak donosi *Kuryer warsz.*, wkrótce zwołana będzie specyalna komisya dla obrad w sprawie domu podrzutków na prowincyi. Są na widoku dotąd trzy miejscowości: Paradyz (pow. opoczyński), gdzie jest klasztor pobernardyński, św. Katarzyna (pow. kielecki) z klasztorem panien bernardynek i Łagiewniki (pow. łódzki) z gmachem po-franciszkańskim. Przy obliczaniu funduszów na założenie domu podrzutków wzięte będą pod uwagę różne zapisy, legaty i sumy powstałe ze składek.

— W zarządach towarzystw dobroczynnych, miast i w przytułkach dla dzieci w gub. kurlandzkiej wprowadzono urzędowanie w języku ruskim.

— Wyjaśniono, iż faktorzy i stręczyciele, zajmujący się pokątną rekomendacyą mamek, winni być pociągani do odpowiedzialności sądowej na zasadzie § 53 kod. handl. Jeżeli winnymi okażą się ludzie posiadający dyplomy felczerskie lub akuszerskie, sprawę należy przesłać do urzędu lekarskiego.

— Ministeryum oświaty opracowało ustawę normalną kolonij letnich dla dzieci. Będzie ona obowiązywać instytucye tego rodzaju, urządzane przez miasta i osoby prywatne.

— Otwarto kasę pożyczkowo-wkładową dla pracowników urzędu gubernialnego do spraw włościańskich w Warszawie.

— Zapis Radziszewskiego warszawska rada dobroczynności publicznej ostatecznie rozstrzygnęła. Stosownie do woli zapisodawcy, 4,000 oddane będą do kas rzemieślniczych cyrkułowych dla korzystania tylko z procentów; reszta dla sierot pod opieką Tow. dobroczynności (korzystanie z procentów).

— Warszawski dom sierot po robotnikach w r. 1891 utrzymywał i wychowywał 24 chłopców; 17 uczęsz-

czało do szkół początkowych, 7 do rzemieślniczej. W dochodach za rok ubiegły otrzymano przewyżkę rs. 581 kop. 98.

— Ministeryum spraw wewnętrznych poleca towarzystwom wzajemnych ubezpieczeń, aby pogorzelcom wypłacały tyle tylko, ile potrzeba na przyprowadzenie zniszczonych lub uszkodzonych nieruchomości do stanu pierwotnego. Tym sposobem właściciele nie będą zabezpieczali budowli swoich nad ich wartość rzeczywistą, aby potem je podpalać.

— Dzięki ukrytemu ofiarodawcy, w Krakowie powstanie dom przytułku dla podrzutków.

— Urzędowo pozwolono na przebywanie obcokrajowych robotników przemysłowych na Górnym Szlązku do 1 kwietnia r. z.

— W Dreznie królewska fabryka dział uwolniła 200 robotników.

Szkoły. Ministeryum oświaty rozesłało do wszystkich okręgów naukowych okólnik, zalecający zastąpienie dotychczasowych nauczycieli gimnastyki, wojskowych, specyalnymi nauczycielami, którzy w r. z. ukończyli w Petersburgu kurs gimnastyki szkolnej.

— W uniwersytecie odeskim otwarto nowe katedry języków: nowogreckiego i rumuńskiego.

— Kończący nauki w instytucie elektro-technicznym będą zrównani w rangach z wychowańcami wyższych zakładów naukowych.

— Postanowiono skasować szkołę konduktorów przy głównym zarządzie inżenierskim w Petersburgu, a natomiast otworzyć w jesieni r. b. szkołę konduktorów wojenno-inżenierskich z kursem dwuletnim. Do zakładu tego będą przyjmowani kandydaci, którzy ukończyli cztery klasy szkół realnych.

— Senat akademicki uniwersytetu krakowskiego przedstawił ministrowi kandydatów do objęcia katedry hygieny, która wkrótce będzie utworzona. Na pierwszem miejscu przedstawiono d-ra O. Bujwida, na drugiem d-ra Stanisława Ponikłę.

— *Kur. warsz.* dowiaduje się, iż zamiast projektowanego gimnazyum będą utworzone w Warszawie dwa nowe progimnazya czteroklasowe, jedne w środku miasta, drugie między placem Trzech krzyży a ul. Marszałkowską.

Zdrowie publiczne. Departament lekarski opracował przepisy o odpowiedzialności lekarzy wolnopraktykujących za niezawiadamianie policyi o chorobach zaraźliwych.

— W zabudowaniach dawnego szpitala zapasowego za rogatką wolską otwarto stały szpital dla dotkniętych chorobami zakaźnemi.

Konkurs. Towarzystwo sztuk pięknych ogłosiło na r. 1893 konkurs rzeźbiarski, obejmujący wszelkiego rodzaju dzieła rzeźby, snycerstwa i medalerstwa, wykonane w ciągu trzech lat ostatnich, a nie wystawione na żadnej wystawie warszawskiej. Z pod konkursu wyjmują się wszelkie kopie, oraz płody artystów zmarłych na trzy lata przed otwarciem wystawy konkursowej, tj. przed 31 grudnia r. b. W tym ostatnim terminie powinny być nadsyłane prace do Kancelaryi Towarzystwa. Pragnący przyjąć udział w konkursie powinien przed 15 grudnia r. b. nadesłać deklaracyę w formie listu z wyszczególnieniem treści dzieła, ceny, adresu swego i krótkim opisem miejsca urodzenia tudzież szkoły, w której się kształcił. Komitet przeznacza trzy nagrody: pierwsza rs. 600, druga 300, trzecia 200 rs., dalej listy pochwalne i odznaczenia. Dla dzieł nadsyłanych z zagranicy Towarzystwo ponosi koszty transportu do wysokości 10 pudów wagi oraz cło, za wyłączeniem opłaty od rzeźb z bronzu.

Przemysł i handel. Rząd perski wydał, według doniesień *Rusk. wied.*, koncesyę grupie kapitalistów ruskich na zorganizowanie w Persyi północnej towarzystwa transportowego.

— Otwarto w Warszawie koncesyonowane przez ministeryum spraw wewnętrznych biuro komisowe pierwszego rzędu do spławu na rzekach Królestwa Polskiego towarów i transportów, po złożeniu rs. 15,000 kaucyi przez pp. A. Paszkowskiego i I. Żelisławskiego.

— W dobrach Kluczkowice, pod Nową Aleksandryą rozpoczęto próby wyrabiania majoliki w celach przemysłowych.

— Ministeryum dóbr państwa przeprowadzi, jak donoszą dzienniki petersburskie, szereg prób kultury opium na Kaukazie. Próby tego rodzaju, dokonane z inicyatywy prywatnej w gub. kijowskiej, wydały podobno zupełnie zadawalniające rezultaty.

Sprawy kolejowe. Z sumy ogólnej, przeznaczonej na gratyfikacye dla pracowników kolei Nadwiślańskiej (tylko 24,000 rs.) na zarząd wypadło do rozdziału zaledwie 18,000. Wobec znacznej liczby robotników zapomoga jest niewystarczającą, a więc tylko mała cząstka znajdzie się szczęśliwych. Zarząd będzie miał niemałą trudność w ocenianiu kandydatów.

— W kwietniu rozpocznie się budowa kolei od Łukowa do Białegostoku. Będzie to odnoga dróg Poleskich.

— Ministeryum komunikacyi opracowało projekt obowiązkowego wprowadzenia na kolejach felczerów stacyjnych.

— Ministeryum komunikacyi postanowiło w r. b. zalecić zarządom kolejowym obsadzanie linij drzewami w celu ochrony od zasp śnieżnych. Roboty mają być rozpoczęte na wiosnę.

Komunikacye. Zarząd kolei Wiedeńskiej podał radzie zarządzającej projekt połączenia Warszawy ze Skierniewicami linią telegraficzną.

— Berlin ma być połączony komunikacyą telefoniczną z Poznaniem, Bydgoszczą, Gnieznem, Elblągiem, Gdańskiem i Królewcem. Władze pocztowe zajmują się już tą sprawą.

Zmarli. Edward Wróblewski w Petersburgu, dr. chemii, b. profesor instytutu technologicznego. Urodz. w Grodnie r. 1848. Liczne jego prace specyalne były drukowane w *Berichte der Deutschen Chemischen Gesellschaft* i w *Justus Liebig's Annalen der Chemie.*

— Rangabé w Atenach; poeta grecki i dyplomata. Ur. r. 1810 w Konstantynopolu, był profesorem archeologii w Atenach, potem ministrem spraw zewnętrznych wreszcie posłem greckim kolejno w Waszyngtonie, Paryżu, Berlinie, Bukareszcie i Sofii. Do najcelniejszych utworów należą: epopea „Leoplanos," tragedya „Dukas," komedya polityczna „Wesele Kutrulisa." Nadto kilka studyów naukowych: „Antiquites helleniques (2 t.), „Archaiologia" (2 t.), „Histoire litteraire de la Grece moderne (2 t.).

Sprostowanie. W numerze poprzednim, w sprawozdaniu z działalności Towarzystwa opieki nad biednemi matkami, zamiast *zamożnych* i *niezamożnych* czytać należy *zamężnych* i *niezamężnych.*

— Autorem powieści „Z zakutego grodu" nie jest *Henryk*, jak mylnie podano w n. 6 *Prawdy*, lecz *Kazimierz* Gliński.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 7 Февраля 1892 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.